

SPRAWY OTWARTE

WILNO

20
GR.

DWUTYGODNIK • KULTURALNO • SPOŁECZNY •

Nr. 24 (45)

16—31 GRUDNIA 1938 r.

Rok II

WINCENTY MACKIEWICZ.

STYL ŻYCIA

Ile razy zastanawiałem się nad stylami w sztuce, w architekturze czy budownictwie — naprzykład, nad gotykiem, barokiem, stylem romańskim — zawsze jako zagadnienie towarzyszące, a nierozwiązane — pojawia się sprawa: dlaczego nie mówimy o stylach w życiu?

Przecież życie może mieć także swój styl, swoją formę — etyczną, swoje kształty społeczne, jakieś łuki, jakieś wzloty — strzeliste jak gotyk, idące czynami aż w niebo, jakieś przesadne barokowe, zdobnicze wysiłki, obliczone na bogactwo zdobnictwa, na zatrącenie w szczegółach; przecież może istnieć życie — zamknięte doskonale — w klasycznej budowy formy, proste, prostolinijne, solidne, skończone — przemyślane od fundamentu po strop.

Powinien przecież istnieć styl życia, boć stokrót ważniejsze jest to co człowiek wewnątrz siebie buduje, niż to — czym na placach publicznie się chełpi, a co historycy sztuki — dziela na epoki i gatunki budownictwa.

Dlaczego nie określamy czyjś życia — w jakim ono jest stylu, dlaczego nie walczymy o styl życia, czyżby człowiek — nie mógł już być pożyteczną świątynią, zbudowaną dla innych?

CZŁOWIEK BUDUJE SIEBIE SAM

Mają styl jakiś bohaterzy w utworach, mają postaci z przeszłości — dlaczego tedy współcześni, zapatrzeni w monumentalność już wzniesionych budowli, zapominają o potrzebach własnego budownictwa, dlaczego najobojętniej w świecie — przechodzą do porządku nad tym zagadnieniem?

-- Przyczyną bezpośrednią — jest trud kompozycji, którego styl życia wymaga. Łatwiej być przeciętnym zjadaczem chleba, „szarą masą” — w worku z prowincji przywiezioną, istotą bez oblicza, niż poszukiwaczem form doskonałych życia, niż mistrzem, który wznosi własne życie.

Obserwuję na tym odcinku — z jakim nę uporem Jerzy Braun walczy o ten styl życia, o to — żeby każda chwila — nie była tylko bezmyślnym przemijaniem, witalną rezygnacją, jednym dniem więcej, ale żeby to życie — było jednak w pewnym sensie twórczością, budownictwem, wznoszeniem — formą, posiadającą własne oblicze i wyraz, rytmem, rzeźbą, odlewem — w pewnym stylu, w szlachetnym, w wartościowym stylu.

Każda sztuka ma to do siebie, że jest przeważnie bezinteresowna; najpiękniejsze kościoły w najpiękniejszych stylach — powstały na chwałę Boga; chodzi o to, żeby życie powstawało, rozwijało się, przemijało nawet — w pewnym stylu, kończyło się pewną wartością, wysiłkiem, żeby można było w końcu powiedzieć — to życie miało swój styl.

Zagadnienie jest oczywiście jasne: nie mogą miliony ludzkich istnień — kończyć się tak, jak kończy się życie jednodniowej jętki.

Jeden wytwarza styl swego życia — myślał, inny przykładem, inny — uporem w szlachetnej sprawie, jeszcze inny — poświęceniem, i ktoś jeszcze czynem bezinteresownym.

Ginie Cornelius Codreanu — pojawiają się odrazu setki artykułów, poeci piszą wiersze, a to przecież nie jest nic innego — tylko tęsknota za stylem życia, za doskonałością.

Codreanu życie — miało swój styl, pisał o nim — a myślał o tym stylu.

Jest to zupełnie — naturalne, powinno — być naturalne, jeśli życie nasze nie jest życiem jętki jednodniowej, która nie ma czasu — żeby po sobie zostawić wspomnienie.

czątku do końca — wykonać sam, sam musi siebie wybudować.

O ileż słuszniej jest mówić o stylu życia, a o ileż trudniej — jest spotkać się z nim w rzeczywistości współczesnej.

WALKA O STYL ŻYCIA.

Może dziwną się wyda — mowa o stylu życia, ale cóż, kiedy życie współczesnego człowieka tak bardzo tego stylu potrzebuje.

Nie łatwizna, nie pośpiech, nie namiatki — czynów, myśli, twórczości, tylko fundamentalne budowle, tylko jednostki z charakterem, z własnym stylem — są współczesnemu życiu potrzebne.



DROGA NA PASTERKĘ.

FOT. J. BULHAK.

Otóż nie chodzi tylko o tę tęsknotę za stylem życia, za jego wyrazem — tylko o realizowanie tego stylu, o takie budowanie dni — w czynach, o takie wznoszenie — miesiący czy lat, żebyśmy już z daleka, z perspektywy tych wysiłków jednostki — mogli ją poznać i określać, jak z łatwością określamy — styl kościoła św. Anny w Wilnie czy katedry w Reims, czy bazyliki św. Piotra w Rzymie.

Architekt ma do pomocy — kiedy realizuje swoją koncepcję, wielu ludzi — on czuwa tylko nad całością, nad stylem własnie budowli; człowiek, kiedy własny styl w życiu rozwiązuje — musi wszystko od po-

Wtłoczeni — pomiędzy rozbieganą codzienność, niepoważną, materialną, pomiędzy małość i ludzkich zabiegów i marzeń ludzkich, pomiędzy przemijanie wszystkiego i nas, jakże łatwo — o tej potrzebie zapominamy, jeszcze łatwiej — z niej rezygnujemy.

Zmęczeni niedostatkiem, przybici — niepowodzeniem — rezygnujemy z zuchwałości zapominamy, że Prometeusz — był jednym z nas, że Mermoz — żył z nami, że Codreanu — nie stał się jeszcze legendą.

Walka o styl życia — oto co powinno stać się dewizą niepoważnego świata, który zamknął niesłychane piękno — w gotyku, a

gotyku — nie chce powtórzyć w każdym z nas.

Może się wtedy życie wyda czemś poważniejszym, a nie takimi — już tylko peryferiami, gdzie z nożem w ręku walczy się o chleb, i o igrzyska; wtedy nawet chleb igrzyska, i walka o nie — staną się innym pojęciem, staną się inne.

Tu nie chodzi o wielkość każdego z ludzi, bo to jest oczywista — niemożliwe, chodzi o to, co przw stylu każdym — jeśli ma być wytrzymały i udany do końca — jest istotne, o odpowiedzialność wznoszącego budowlę, o taki stosunek do budowanej przez siebie świątyni, czynu, książki, artykułu, żeby można go było nazwać etycznym, żeby za nim stał, nie człowiek — już doskonały, tylko przynajmniej człowiek — kochający prawdę; czy prawdę sztuki, czy prawdę życia — to zagadnienie wtórne.

Nie chodzi o czyny wielkie, bo wszak nie tylko z nich — składa się życie ludzkie, chodzi o to, żeby czyny małe, nawet powszednie, nawet najprostsze, żeby one przede wszystkim — stylowi życia nie przeczyły.

Styl życia — to nie tylko ten styl na trybunie, na katedrze, na koturnach, na rydwaniu, to także styl — we współżyciu z innymi, w codzienności szczęśliwej i smutnej, za kulisami, na schodach kuchennych, w sztabach partyjnych, i na poufnych zebraniach redakcyjnych, i we wszystkich zamierzeniach, i w każdym ataku, i w każdym publicznym zabraniu głosu, i w każdej polemice, we wszystkim.

Tak jak w pojęciu przymiotnika „stylowy” — zawiera się uznanie, zaleta, wyrażenie wartości — tak samo chcielibyśmy żeby w rzeczownikach styl życia — były te same cechy, te same uznania.

Ta garść rozważań — przy końcu mijającego roku, o stylu życia — o konieczności jego wytworzenia, pojawienia się i rozpowszechnienia — chce mieć swój oddźwięk nie tylko teoretycznie, lecz i w czasie — który się co roku od nowa zaczyna, który się i teraz zaczyna.

Znamy wszyscy gotyk nadwiślański — w sztuce, chcielibyśmy poznać — gotyk nadwiślański — w życiu, chcielibyśmy móc mówić, już w przyszłym roku, o polskim stylu życia, chcielibyśmy tak jak teraz oglądamy świątynie gotyckie, móc oglądać ludzi, których życie ma styl.

I gdyby chociaż — tylu tylko było tych ludzi, ile jest w Polsce świątyni — mielibyśmy prawo mówić — i o polskim stylu życia, i o gotyckiej strzelistości tego życia.

Przecież tęsknimy do takiego życia, przecież wierze o Codreanu z pochodzenia Polaku piszemy.

Wybudujmy w sobie te tęsknoty do stylu życia!

Tak prosto: w nowym roku — nowe życie.

Życie, które będzie miało styli.

Wszystkim naszym Szanownym Prenumeratom, Czytelnikom i Przyjaciołom zespół redakcyjny „Spraw Otwartych” składa najserdeczniejsze życzenia

„WESOŁYCH ŚWIĄT”

X. BOLESŁAW GRAMZ.

Czy Z. N. P. jest organizacją polityczną?

Chcę na to pytanie odpowiedzieć sine ira et studio, opierając się przede wszystkim na źródłach związkowych.

Co to jest Z. N. P.?

Związek Nauczycielstwa Polskiego powstał w r. 1919 przez połączenie założonego w r. 1905 małopolskiego „Krajowego Związku Nauczycielstwa Szkół Ludowych” ze „Zrzeszeniem Nauczycielstwa Szkół Początkowych”, powstałym w r. 1916 na terenie byłej Kongresówki.

We wrześniu 1937 r., według źródeł związkowych, w Polsce istniało 1810 ognisk, średnio po 25—50 członków. Ogólna liczba członków wynosi blisko 52 tysiące. („Głos Nauczycielski” Nr. 2, 1937, str. 28).

Wysoką liczbę członków i wielkie wpływy osiągnął Związek dzięki sprężystej organizacji nauczycielstwa, oraz działalności oświatowej, jaką rozwija za pomocą kursów i sporej liczby wydawnictw.

„Dla ścisłości trzeba dodać — powiada ks. prof. M. Klepacz — że nie miały wpływ na ilościowy wzrost członków wywarł nacisk na nauczycielstwo tych czynników, od których nauczyciel jest zależny i to w decydujący sposób.” („Kierunki organizacyjne oraz ideały wychowawcze we współczesnym szkolnictwie polskim”, Katowice 1937, str. 144).

Seminarja nauczycielskie, inspektoraty szkolne, kuratorja, a nawet ministerstwo oświaty liczyły i liczą wielu przyjaciół, a jeśli chodzi o zakłady, wychowujące przyszłych nauczycieli, to i członków Związku. Składki członkowskie, i to dość duże, ściągano nawet przez inspektoraty.

Związek rozporządzał miesięcznie blisko dwoma setkami tysięcy złotych z samych tylko składek członkowskich.

Zarząd Główny jest dobrze rozbudowany. Posiada szereg organów wykonawczych, którym są sekcje: reformy ustroju szkolnictwa, pedagogiczna, szkolnictwa specjalnego, wychowania przedszkolnego, wychowania fizycznego, robót ręcznych, szkół dokształcających (zawodowych), krajoznawczo-wycieczkowa, muzyczna, zagraniczna (kontakt z zagranicą w sprawach szkolnych), wdów i sierot, burs, doraźnej pomocy, kształcenia nauczycieli, powszechnych uniwersytetów regionalnych, prasowo-wydawnicza; nadto istnieje centralna komisja rysunkowa, wakacyjne kursy uniwersyteckie, powszechny uniwersytet korespondencyjny, wydział oświaty pozaszkolnej, wiejski uniwersytet ludowy w Szycach i instytut oświaty i kultury im. Staszica.

Z wydawnictw Związku N. P. wymienimy: 1. „Głos Nauczycielski” — tygodnik, centralny organ Z. N. P. 2. „Przedszkole” — miesięcznik. 3. „Praca Szkolna” — miesięcznik. 4. „Gimnazjum” — miesięcznik, organ Sekcji Szkolnictwa średniego. 5. „Szkola Rolnicza”. 7. „Ruch Pedagogiczny” — mies. 8. „Polskie Archiwum Psychologii” — kwartalnik. 9. „Praca w Klasach Łączonych” — mies. 10. „Rysunek i Zajęcia Praktyczne w Szkole” — mies. 11. „Śpiew w Szkole” — mies. 12. „Wychowanie Fizyczne w Szkole” — mies. 13. „Teatr w szkole” — mies. 14. „Przewodnik Pracy Społecznej” — miesięcznik.

Czasopisma stowarzyszeń, będących w afilacji ze Związkiem: 1. „Poradnik Językowy” — mies. 2. „Ziemia”, organ mies. Pol. Tow. Turyst.-Krajozn. 3. „Morze” — mies., organ Ligi M. i K. 4. „Polska na Morzu” — mies., organ Ligi M. i K. 5. „Sprawy Wodne i Kolonjalne” — kwartalnik, organ Ligi M. i K.

Pozatem Z. N. P. wydaje czasopisma dla dzieci: „Płomyk”, „Płomyczek”, „Mały Płomyczek”, „Młody Zawodowiec”, „Szkolna Gazeta Ścienna”, „Ilustracja Szkoła”.

Finansowa strona Związku jest dobrze zorganizowana i pozostaje pod naczelnym dozorem Rady Finansowej, pracującej przy Gł. Zarządzie. Z. N. P. posiada szereg księgarń: w Warszawie, Łodzi, Wilnie, Krakowie i Cieszynie. Ponadto majątek ziemski Brody, koszt 900 tys. zł., udział w zakładzie sprzedaży materiałów odzieżowych (Kraków). (Klepacz, 146). Sanatorium w Zakopanem, koszt

tem 3 milionów zł. Co rok 600—800 członków chorych przebywa w nim i leczy się. Drukarnia w Warszawie — wartości przeszło 700 tys. zł. Dom Z. N. P. w Warszawie — 4½ milj. zł. koszt. („Głos Naucz.”, Nr. 20, 5. VI. 1938, str. 365).

Ale czy naprawdę Z. N. P. jest organizacją polityczną?

„Sprawy Nauczycielskie”, Nr. 2, 3, 4, kwiecień 1938, str. 26, podają oświadczenia Zarz. Z. N. P. Wilno. Między innymi czytamy:

„Związek Nauczyc. Polskiego jest organizacją apolityczną i dlatego nikogo nie chce prześladować za kierunek polityczny.”

A więc działacze związkowi nie są krępowani pod względem politycznym.

To też biorą udział w życiu politycznym. Oddajemy głos p. Cz. Chojnickiemu, członkowi Z. N. P., który w artykule: „Pojęcie zawodowości” („Głos Naucz.”, 1938, 22. V., Nr. 18, str. 317) zupełnie słusznie powiada: „...utrzymanie apolityczności organizacji jest bardzo trudne. Właściwie w Polsce niema organizacji zawodowych bez oblicza politycznego. Klasowe Związki Zawodowe mają charakter socjalistyczny. Chrześcijańskie Związki Zawodowe mają ogólne założenia chrześcijańskiej demokracji, a Związki Zawodowe „Praca Polska” mają wyraźnie oblicze endeckie.”

„Rozumienie istoty pojęcia zawodowości i jego zakresu jest bardzo różne w różnych związkach zawodowych i zależy ono od całego szeregu czynników, jak położenie społeczne członków grupy, jej ideologia, warunki społeczno-polityczne w danym państwie” (str. 315)

„Wybitni działacze Związku Nauczycielstwa biorą wybitny udział w pracy politycznej w partiach ludowych (Nowicki, Woźnicki, Suda, Sieńko, Baścik, Nowak, Wójtowicz, Malik), lub robotniczych (Prauss, Smulikowski). Wyraźne ludowe tendencje przebijają z „Głosu Nauczycielskiego”. W Sejmie ustawodawczym mamy dużą grupę nauczycieli, w tym około 90% nauczycieli-związkowców w partiach ludowych i partii socjalistycznej. Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” miało charakter wybitnie nauczycielski i inteligentki.” (str. 336).

W latach 1929—1934 bardzo mocno zaznaczył się charakter syndykalistyczny Związku. (Syndykalist. uchwały z 1932 r.) W latach 1934—1936 następuje przełom. W 1936 r. powstaje Centralna Komisja Porozumiewawcza Związków Pracowniczych, która powstała, jak twierdzi Chojnicki, „na podstawie jedności światopoglądu a nie wspólności interesów klasowych” (str. 317). Z. N. P. przyjął deklarację społeczno-gospodarczą tej Komisji z dn. 10 września 1936 r. i sformułował postulaty natury politycznej. Są one następujące: „uspołecznienie kluczowych gałęzi przemysłu, przeprowadzenie reformy rolnej, ochrona pracy i udział ruchu pracowniczego w rządzeniu Państwem” (str. 317). Z. N. P. doszedł do przekonania, że „nie może być mowy o całkowitej poprawie sytuacji świata pracy bez przebudowy dotychczasowego ustroju społecznego” (tamże).

Każdy działacz polityczny chce, czy nie chce, wnosi do pracy, nawet zawodowej, atmosferę swych walk, tęsknot i pragnień politycznych.

Cóż dziwnego, że przebudowa ustroju, jakiej domaga się Z. N. P. będzie szła po linii swych politykujących przedstawicieli lewicy. Ludowcy pod względem politycznym nie są jednolici. Istnieje wielka różnica ideowa między „wiciowcem” a ludowcem o chrześcijańskim pokroju.

Przywódcy stawiają sprawę polityczności Z. N. P. zupełnie wyraźnie nawet w dziedzinie celów organizacji, jako takiej.

Członek Zarządu Głównego w swym artykule sprawozdawczym p. t.: „Struktura organizacyjna Z. N. P.” („Głos Naucz.”, Nr. 2, 1937, str. 29): „W imię wyższych celów nauczycielstwa szkół różnych stopni i typów musi na bok usunąć wzajemne niechęci i

uprzedzenia, utrwalone często długowiekową tradycją i skupić się pod jednym sztandarem organizacji zawodowej, by realizować hasła demokracji na odcinku zawodowym, szkolnym i oświatowym.”

Proszę Państwa, demokracja — to pojęcie polityczne. Kto stara się „hasła demokracji” (o jakże one są różnie rozumiane — aż do komunizmu włącznie!) przeprowadzać i realizować na odcinku szkolnym i oświatowym, czyli w dziedzinie najczulszej, bo duchowej narodu, ten nie może powiedzieć, że jest apolityczny. Apolityczność w takim wypadku to frazes!

Cóż dziwnego, że sympatje pewnej grupy Z. N. P. znajdują się po stronie socjalizmu?

Cóż dziwnego, że zbyt gorliwi działacze lewicowi Związku pragną przebudowę ustroju już propagować i to bardzo roztropnie, bo, osłabiając odporność społeczeństwa polskiego na tendencje lewicowe?

Cóż dziwnego, że skonfiskowany bolszewicki numer „Płomyka” został przez sąd Rzplitej uznany za propagandowy na rzecz Rosji Sowieckiej?

A czy propaganda na rzecz państwa komunistycznego nie jest akcją polityczną, tem szkodliwszą, że szerzoną wśród dzieci. Przez przedstawienie życia sowieckiego w formie pociągającej osłabia się wstręt do ideologii komunizmu.

„Litewski” numer „Płomyka” z 3 listop. b. r. wywołał wśród Polaków na Litwie rozgoryczenie. „Płomyk” zachowuje grobowe milczenie o szkołach polskich na Litwie, o położeniu politycznym mniejszości polskiej, o tem, że w Sejmie litewskim niema żadnego Polaka. O Litwie pisze niemal z entuzjazmem i miejscami blaguje, aż śmiesznie. Słowem mamy nowy propagandowy numer litewski. Z punktu widzenia partyjnego, a nawet zwykłej sprawiedliwości, zamilczenie o wysiłkach, trudach i cierpieniach Polaków zagranicą jest czemś rażącym i przykrem. („Głos Narod.”, 6. XII. 1938).

Proszę sobie wyobrazić numer „polski” jakiegoś poczytnego pisemka dla dzieci na Litwie, które narzucają nauczyciele działwie szkolnej i na niem budują przebieg lekcji języka rodowitego, geografii lub historii. Gdyby w tym „polskim” numerze były tylko same zachwyty nad Polską i ani słowa o mniejszości litewskiej w Polsce, jakby taki numer przyjęło społeczeństwo litewskie?

A oto inne dowody.

Z. N. P. finansował pismo polityczne „Dziennik Poranny”, skrajnie radykalny, niczem właściwie nie różniący się od fołksfrontowego „Dziennika Popularnego”, zamkniętego niedawno przez rząd.

Z. N. P. według oświadczenia p. Musioła kuratora Związku wydał na utrzymanie tego pisma 210 tys. zł. Według źródeł związkowych — 78 tys. zł. (Kurier Powszechny Nr. 304 8. XI. 1937).

Z. N. P. zorganizował strajk nauczycieli (7. X. 1937) po zawieszeniu Zarz. Głównego, jako demonstrację przeciwko zarządzeniom władz państwowych.

Z. N. P. zorganizował uliczne manifestacje przeciwko rządowi, charakteryzując ustanowienie kuratora jako „zamach na Z. N. P.”, a akcję rządu przedstawiając jako akcję „organizacji faszystowskiej”, która „pod płaszczykiem legalności zarządzeń władz państwowych usiłuje zawiadnąć Z. N. P. i jego majątkiem. Członkowie Z. N. P. podczas strajku usuwali działwę ze szkoły, uniemożliwiając jej naukę.

I to wszystko w imię czego? W imię „demokracji”, którą chciał pogrzebać Związek Młodej Polski. (Biuletyn Komitetu Strajkowego Z. N. P. Nr. 3 z dnia 3 października 1937, cyt. Glass H., Wpływy Kominternu wśród nauczycieli warsz. 1938 2, 38).

Czyż to nie polityka?

Zdaje się, że polityczność działalności Związku jest zupełnie jasna.

Odżęgniwanie się tedy Z. N. P. od polityki wydaje się nieszczerze.

Z. N. P. robi politykę nie tylko w kraju, ale i na forum międzynarodowym.

P. H. Glass zarzucił Związkowi przynależność do komunistycznej międzynarodowej organizacji Pracowników Nauczania — I. T. E. (L'Internationale des Travailleurs de l'Enseignement, Paris).

Za podstawę do takiego twierdzenia posłużył mu list otwarty I. T. E. do „nauczycieli polskich” w sprawie zawieszono Z. N. P. ogłoszone w komunist. paryskim „Populaire”, Nr. 277, 21. XI. 1937 r. (Wpływy Kominternu, str. 43).

„Głos Nauczycielski” w art. „Praca Z. N. P. na terenie międzynarodowym”, Nr. 8. 13. III. 1938, str. 127, zaprzecza twierdzeniu p. Glassa.

Sądzę, że p. Glass przynależności Z. N. P. do I. T. E. nie udowodnił.

List otwarty mógł być tylko wyrazem sympatii dla Związku walczącego o „hasła demokracji”, które w niektórych krajach, jak we Francji, Anglii, a i u nas też są kołem trojańskim Kominternu, usiłującego demokratyczne „fronty ludowe” wykorzystywać dla swoich celów.

Z. N. P. natomiast otwarcie przyznaje się i chlubi przynależnością do innej organizacji: „La Federation Internationale des Associations d'Instituteurs”, w skrócie: F. I. A. I. Liczy ona 1 milion członków. „Statut F. I. A. I. (art. 3) zabrania poruszania w tej Federacji spraw politycznych czy metafizycznych (sic!)” (Głos Naucz., Nr. 8, 1938 str. 129). Żyłość Związku z tą organizacją jest tak wielka, że delegaci Z. N. P. często przewodniczą na posiedzeniach. W r. 1937 przewodniczył na kilku zebraniach dr. Jakiel, czł. Zarz. Z. N. P. Jest to organizacja o duchu socjalistycznym (Glass, Wpł. Kom., str. 35). Ale mało tego. Jest ona antyreligijna w maońskim stylu. Oto co pisze sprawozdawca „Głosu Nauczycielskiego” niejaki „M. N.” w artykule p. t. „Z. N. P. na Kongresie międzynarodowych” (Nr. 2, 1937 r., str. 25):

„Na zakończenie kongresu odbyła się pod przewodnictwem Herriota otrzymia manifestacja w auli Sorbony, w której wziął udział areopag Sorbony, minister Zay, kilku ministrów, ambasadorów (prócz polskiego) oraz około 5.000 osób. Wykazywano dosadnie, że wszelka indoktrynacja mózgow uczniów przez partie i koniesje jest niedopuszczalna”. Oto co znaczy zakaz poruszania kwestji metafizycznej. A więc niedopuszczalna jest indoktrynacja religijna, wyznaniowa. Rozumiemy teraz dlaczego Z. N. P. tak walczy przeciwko szkole wyznaniowej. Ma złych przyjaciół. A kto z nim przestaje...

Nie wolno należeć do Ozonu, do Narod. Demokracji, do faszystów! Wolno tylko uznawać i wierzyć w czystą „demokrację”.

Czyż to nie polityka?

Ja nie wiem, czy wielu z pośród nauczycieli związkowców solidaryzowałoby się z organizacją, która uważa „indoktrynację” (poco ten dziwoląg językowy?) czyli innymi słowy wychowanie religijne za „niedopuszczalne”.

Sądzę, że przeciwnicy Z. N. P. nie mogą udowodnić tej organizacji faktu zostawania w ścisłej zależności od Kominternu. Ale związkami z wrogami religijnego wychowania działacze Z. N. P. sami się chwala. A więc?

Bo to, że prasa komunistyczna pisała przychylnie o strajku Z. N. P., że radio sowieckie ogłosiło światu, iż Związek został rozwiązany za komunizm, że w Polsce Partja Komunistyczna nawoływała do strajku generalnego w swoich ulotkach z powodu zawieszenia Gł. Zarządu Z. N. P. — to wszystko świadczyło tylko o zbieżności interesów Kominternu, dążącego do wywołania zamieszek w każdym państwie, z krytyczną sytuacją Związku i jego fanatycznym przywiązaniem do „demokracji”. Dowodów apodyktycznych przynależności Z. N. P. do Komuny nie mamy. Nie możemy więc tej organizacji stawiać wyraźnych zarzutów przynależności

(Dalszy ciąg na str. 3-ej).

(Dokończenie ze strony 2-ej).

do Kompartii. Ale co innego przynależność polityczna, a co innego atmosfera w jakiej się pozostaje, wpływy, jakie w tej organizacji nurtują.

W dniu 30.IX 1937 r. Zarząd Główny Z. N. P. został przez ministra spraw wewnętrznych rozwiązany. Funkcje Zarządu przejął kurator p. Musiał.

Jakież powody skłoniły p. Premiera do tak stanowczego kroku?

Sam to wyjaśnił.

Główne zarzuty przeciwko Z. N. P. pozostawione przez p. Premiera Składkowskiego 2.X. 1937 są następujące:

„1. polityczne: tolerowanie i popieranie od dłuższego czasu:

a) idei i tendencji wyraźnie komunistycznych, lub z komunizmem graniczących, b) pacylizmu wśród nauczycieli i w szkolnej pracy wychowawczej, sprzeczności z założeniami interesów Państwa,

c) podważania zaufania do władz państwowych i gloryfikowanie pracy władz zaborczych w dziedzinie stosunków szkolnych.

2. społeczne: naruszanie wolności przekonań i podstawowych praw obywatela przez przesładowanie nauczycieli, nie zgadzających się wyżej wspomnianymi kierunkami politycznymi”.

Zarzuty naprawdę ciężkie.

„Kurier Powszechny” 20 listopada 1937 r. ogłosił światu, że „Premier Składkowski anulował swe oskarżenie pod adresem Z. N. P. Przytem cytuję pełny tekst przemówienia premiera do kuratora Z. N. P. p. Maciszewskiego Czytaliśmy tę mowę. Znaleźliśmy w niej tylko potwierdzenie zarzutów postawionych 2.X. 37 r. Radość „Kurjera Powsz.”, który był organem wileńskiego Z. N. P. (patrz „Sprawy Naucz.” Nr. 3, 1937, str. 106) jest zupełnie nieuzasadniona.

„Głos Nauczycielski” z 13 marca 1938 r. przynosi pełną uczucia opowieść o audjencji prezesa Związku Z. Nowickiego i H. Jędrusika członka Zarządu u p. Premiera. Oto dajemy głos p. Jędrusikowi: „Łuny wzruszenia przebiegają przez nasze twarze i odbijają się w oczach Pana Premiera. I Jego odpowiedź - zapewnienie. Że zna patriotyzm członków Z. N. P. i państwowo-twórcze nastawienie jego „góry”, że będzie dobrze, że przecież nikt nie jest wolny od zarzutów i ataków ugrupowań politycznych, że „powinnościście walczyć w obronie swych założeń ideowych, a za jaskrawe wybrki przeciwko wam — to już ja ukarzę”.

Chętnie wierzymy sprawozdawcy.

Ale zarzuty p. Składkowskiego były zrobione w formie oficjalnej.

Dotychczas oficjalnego ich odwołania nie mamy. Szczególnie przykry związkowcom jest zarzut komunizmu. Jak już powiedzieliśmy nie stawiamy Z. N. P., jako organizacji, zarzutu przynależności do Kominternu.

Ale jeśli chodzi o atmosferę sprzyjającą bolszewizmowi, doskonale ujął tę sprawę p. Premier, gdy tłumaczył swoje stanowisko w Sejmie na sesji grudniowej 1937 r.

Cytujemy jego słowa piękne w swojej prostocie i żołnierskiej szczeroci:

„Kiedy przyszedł do mnie jeden z polityków opozycji po zawieszeniu zarządu Z. N. P. i zapytał mnie, czy sobie zdaję sprawę z powagi sytuacji — powiedziałem mu: „Tak jest, jestem przygotowany na strajk generalny”.

Proszę kolegów, rzeczywiście zdawałem sobie sprawę, że to jest pociągnięcie o wielkiej wadze państwowej.

Co mnie zmusiło, proszę kolegów, do tego aby tak postąpić i dlaczego zrobiłem to teraz, a nie na przykład przed pół rokiem. Ostatnią kroplą, która wyczerpała moją cierpliwość, były artykuły w „Głosie Nauczycielskim”, które zaczęły już otwarcie gloryfikować rządy zaborcze kosztem polskich. Zarówno w „Głosie Nauczycielskim” z 19 września tego roku, jak i w „Głosie Nauczycielskim” w roku zeszłym mówi się o tym, że szkoły i nauczyciele byli zupełnie inaczej traktowani przez zaborców, a obecny rząd traktuje ich w sposób fatalny. To są niedopuszczalne rzeczy.

Mnie nie chodzi o ludzi, którzy byli komunistami, ale chodzi mi o atmosferę. Nie

będę cytował uchwał, jakie były ale przedstawię atmosferę, która była w piśmiennictwie Z. N. P. Tutaj jest np. „Teatr w szkole”, gdzie jest przedstawione, jaki ma wpływ wychowawczy teatr w Sowieciech.

Proszę panów, ja wogóle uważam, że to nie powinno było się ukazać. U nas wychowuje się dzieci nie w teatrze, tylko w domu i, wiemy o tym, że wychowanie naszych matek jest dobre, bo pozwoliło nam przetrwać 150-letnią niewolę. (Huczne oklaski). My dzieci prowadzimy do teatru dla przyjemności i rozrywki, ale nie wychowujemy ich w teatrze.

Pewna paniusia pisze, jak trzeba wychowywać i wdycha, jak jest dobrze w Sowieciech. A na końcu pisze: „A gdyby tak u nas?”. I wielokropek. Więc czym to jest? To nie jest tylko tolerowanie — proszę, niech panowie koledzy to sobie przejrzą.

Pisze inna paniusia, że to będzie wychowanie „socjalistyczne”. Oczywiście, pisze się, że to jest wychowanie socjalistyczne, lecz my wiemy, że to nie jest wychowanie socjalistyczne, a bolszewickie. My nie wychowujemy dzieci w teatrze. Tego rodzaju kierunek jest szkodliwy. Jest to kierunek niezgodny z psychiką naszego narodu.

Oto są dwa „Płomyki”. Oto „Płomyk” polski i rosyjski. Na „Płomyku” polskim jest przedstawiony obraz Lenca, gdzie jest podpisane „Robotnicy”. To nieprawda, ten obraz nie nazywa się „Robotnicy”, lecz „Strajk”. Są to robotnicy w tragicznym momencie życia, którzy muszą nie pracować. To jest tendencja niezdrowa, to jest kłamstwo.

A oto w numerze „Płomyka” poświęconego Sowieciechom są przedstawione małe dziewczynki bolszewickie. Daj im Boże. Niech to dzieci w Sowieciech tak wyglądają, ale dla czego przeciwstawiać te wesołe dzieci w Sowieciech oto temu obrazowi strajkujących robotników.

W tym numerze „Płomyka” sowieckiego jest jeszcze „List z Syberii” Or - Ota, gdzie syn pisze do matki. W wierszu Or - Ota w przedostatniej strofice całego wiersza jest to, że jedyną pociechę wytrwania daje mu wiara. Jakies brudne, bezczelne ręce opuszczają tę strofkę, żeby dziecku polskiemu nie dać o tej wierze przeczytać. Czy tak się postępuje? Czy to jest wychowanie polskiego dziecka? My nie chcemy, ażeby nasze dzieci były wychowywane w ten sposób. (Oklaski: Głos: Hańba!)

Proszę kolegów, nie będę mnożył tych przykładów. Ja nie przesładowuję żadnych ludzi, tylko chcę, ażeby uczciwy, patriotyczny, porządny nauczyciel polski na prowincji nie był zmuszony, by podobne paskudztwa przechodziły przez jego ręce do dzieci polskich.” (Głosy: Brawo. Oklaski!) (ABC, Nr. 384A, 4. XII. 1937 r.)

Czy p. premier odwołał choć jeden z tych ciężkich zarzutów? Dotyczyły one faktów. Zmieni się stosunek p. premiera do Z. N. P., zmieniły się jego uczucia. Ale fakty pozostały faktami. A czy w praktyce nie objawiają niektórzy jej członkowie sympatii do Sowieciech. Zastrzegam się, że nie mówię o ogóle związkowców. Nie będę przytaczał wycinków z gazet. Chcę podać tylko fakty.

Po Zjeździe Z.N.P. w Święcianach 23.XI. 1936 r. grupa nauczycieli związkowców w kasynie urzędniczym nastawiła radio na Moskwę i słuchała agitacyjnej transmisji sowieckiej. Obchodzono tam jakąś rocznicę bolszewicką. Słuchała zbyt długo. Aż wreszcie to stało się żenującem. Opiekun kasyna, wicestarosta święciański poprosił nauczycieli, by przeszli na inną stację. Wówczas oni zamknęli zupełnie odbiornik i przez całą godzinę, jak opowiadali świadkowie naoczni, śpiewali rewolucyjną pieśń: „O cześć wam panowie magnaci!”

Chcę zapytać, czyż to nie demonstracja probolszewicka?

Kto za to jest odpowiedzialny? Kto wytworza taki nastrój?

Badanie przyczyn zbyt rozszerzyłoby ramy niniejszego referatu.

Jedną z nich jest zły stan materialny nauczycielstwa, pauperyzacja oraz związany z nią uraz niższości i pogńębienia. Ale bez wątpienia nastawienie pewnej grupy w Z. N. P., atmosfera, jaką wśród masy nauczyciel-

skiej szerzy, miały tu swój wpływ.

Czy taka atmosfera polityczna jest korzystna dla Polski z punktu widzenia jej dobra niech każdy sam sobie odpowie.

P. Chojnicki w końcu swego ciekawego artykułu (Pojęcie zawodowości, Głos Naucz. Nr. 18, 22. V. 1938) rzuci następujące myśli: „...dochodzimy do wniosku, że stanowisko syndykalistów (oparte na zawodowości — przyp. mój) jest nie do utrzymania. Czyż naprawdę łatwiej jest ludziom porozumieć się na płaszczyźnie zawodowej, aniżeli na płaszczyźnie jedności światopoglądów? A właśnie sprawy światopoglądowe szczególną rolę odgrywają w wychowaniu i dlatego tak trudno być nauczycielowi „nijakim”, ani „zimnym ani gorącym”. A więc p. Chojnicki sądzi, że czysto zawodowy charakter Z. N. P. nie da się utrzymać.

Zgadamy się z szanownym autorem. Tylko obawiamy się, że światopogląd w Z. N. P. stanie się socjalistycznym, a więc materialistycznym, który jest w sprzeczności ze światopoglądem katolickim (boć przecie w każdym światopoglądzie leży na dnie filozofia). A znówóż socjalizm wobec komunizmu jest „nijaki” i konkurencji z nim nie zdzierży.

Związek chce przebudować „ustrój w duchu ideałów demokratycznych”. Zdają sobie z tego sprawę związkowcy chociaż nie chcą być „narzędziem w ręku partji politycznych” (Chojnicki, art. cyt., str. 318).

Słusznie. Z. N. P. żadnej partji kłaniać się nie potrzebuje.

Policzmy siły tej organizacji.

52 tysiące członków!

To znaczy — 52 tysiące inteligentnych, rozsianych po całej Polsce, propagatorów

„haseł demokracji”.

Liczbowo kler katolicki wygląda wobec Z. N. P. mizernie.

Wszystkiego w Polsce księży łacińskiego obrządku jest trochę ponad 9 tysięcy.

Trzeba ocenić nie tylko ilość związkowców, ale i ich wyrobienie organizacyjne oraz poważne środki materialne, jakimi organizacja rozporządza. Związek stanowi „klan”, o którego spoiwości po ostatnich próbach można mówić z uznaniem.

Z. N. P. — to siła. Siła, która może zabrać głos i w polityce, głos potężny, wpływowy.

O pozyskanie Z. N. P. będzie zabiegać każda partja. Ale Z. N. P. dzięki swej sile może sam nadawać ton polityce. Może z łatwością stać się pewnego dnia trzonem „frontu ludowego”, jego głównym filarem. Może pewnego dnia do żagla zawodowości dostawić jawnie potężny żagiel otwartej polityki i śmiało pomknąć po iluktach życia politycznego. Ale jakie wiatry będą w ten żagiel uderzały? Do jakiego portu Z. N. P. zawinie? I czy Polska na tem dobrze wyjdzie?

Czy Z. N. P. jest już gotowe do wzięcia jawnego udziału w polityce? Nie. Przewodcy Związku doskonale rozumieją, że taka jawność osłabiłaby organizację przez odływ członków, którzyby się politycznie z działalnością Głównego Zarządu nie zgadzali. Łatwiej zresztą operować niejasnym i pociągającym hasłem demokracji. A skutek może być doniosły. Bo się posiada siłę.”

*) Niniejszy artykuł stanowi część referatu p. t. „Prawda o Z. N. P.”, wygłoszonego w sali Sodalicii Marjańskiej w Wilnie 10. XII. 1938 r.

Były kurator na bruk!

Jako prezes koła opieki, jako autor prac o kulturze, Paweł Musioł wyróżnił się tak dodatnio i zaprezentował taką siłę, że w momencie zatargu Rządu z władzami Z. N. P. kogo naznaczono kuratorem organizacji? Pawła Musioła, energicznego i wybitnego nauczyciela i działacza ze Śląska.

Wiemy wszyscy co zaszło, jak Rząd w walce ustąpił i na skutek tego wycofał kuratora Pawła Musioła.

Nie wszyscy jednak wiedzą, że będąc nauczycielem etatowym od 1930 r. Paweł Musioł akurat przed swoim kuratorstwem w Warszawie złożył wniosek o stabilizację i że dzięki właśnie temu kuratorowi sprawa stabilizacji uległa zwłocze.

Tym nie mniej po powrocie na Śląsk objął swoje poprzednie stanowisko w gimna-

zjum i pracował na nim do ostatniej chwili ku zadowoleniu swoich przełożonych.

Tymczasem ni z tego ni z owego, bez podania powodu, bez wytoczenia dyscyplinarnej — nagle został zwolniony z pracy.

To znaczy po tylu latach pracy zawodowej: idź precz, Młody Polaku, szlifuj bruk, szukaj czego innego...

Sprawa byłaby czysto osobista i drobna, gdyby nie stanowiła części systemu, ogniwa jakiegoś przerażającego łańcuszka, obywatelnego wielu wybitnych i zasłużonych Polaków, którzy, jak to widać, komuś przeszkadzają. Czym przeszkadzają? Tym że są dzielni. Jakże inaczej wytłumaczyć smutny fakt?...

Wyrzucenie Pawła Musioła z pracy nie może minąć bez echa i sprzeciwu jeszcze z innego względu.

Chodzi o działacza, który położył zasługi dla odzyskania Śląska za Olzą, który za te zasługi podany został w pierwszej transzy najlepszych do odznaczenia, który posiada za Olzą rodziców i miał do nich zabroniony przez Czechów dojazd od r. 1935. t. j. od czasu ostrego zaangażowania się w akcję rewindykacyjną, w tajną wojnę z Czechosłowacją.

Takiego Polaka z pracy usuwać! Dla takiego nie znaleźć zatrudnienia! Takiemu nie pozwolić dalej prowadzić jego wybitnej akcji regionalnej! Takiego bić!...

Nie, panowie. To się nie godzi, tak nie wolno, to wstyd.

Proponujemy: cofnąć P. Musiołowi odznaczenie, ale — zatrudnić. („Jutro Pracy”).

Bez echa

Obecny premier i min. spr. wewn. gen. Sławoj-Składkowski podczas swego przeszło dwuletniego urzędowania wprowadził w życie sporo dekretów i jeszcze więcej okólników. Kilka z tych ostatnich, że wymienię np. okólnik w sprawie bielenia frontów wywołało w prasie i opinii donośne echa. Bez rozgłosu natomiast przeszedł okólnik rzeczywiście potrzebny i pożyteczny o pielęgnowaniu chorych koni, niezdatnych do pracy. Bystre oko p. premiera dostrzegło tę niezmiernie przykrą plagę naszych miast i miasteczek, ale wydane zarządzenie nie przynosi dotąd widoczniejszych rezultatów.

Między innymi jest to może spowodowane i tym, że dygnitarze miejsca uważali za słuszne raczej sprawdzenie patyków z ceną, tkwiących w śledziu, czy kielbasie, niż załatwienie sprawy końskiej, która w/g ich zdania jest zbyt staromodna i blaha, w dobie rozwijającej się żywiolowo motoryzacji.

Dlatego też w dalszym ciągu widzieć można prawdziwe szkielety w śmiertelnym wysiłku, pod ciągłymi rzekami bata, ciągnące przeładowane fury, dlatego spotyka się ciągle konie idące dosłownie na 3 nogach z kurczowo wyrzucaną głową i dlatego powstają coraz nowe sposoby wydobywania z konia nieistniejących już sił przy pomocy wędzidel z drutu kolczastego, bicia po oczach itp.

Pomijając już inne względy wystarczy zwrócić uwagę na fatalne następstwa, jakie ciągła katownia koni miejskich wywołuje wśród młodzieży szkolnej. Obiecująca przyszłość narodu nabiera przekonania, iż główną umiejętnością przy użyciu konia jest doskonałe manipulowanie batem i wypróbowuje to najpierw na koniach, a potem i na kolegach.

Charakterystyczne jest przy tym wszystkim

to, że Polacy lubią uchodzić za znawców i miłośników koni, a rozeźłatowane panny co roku uraczają bezkrytycznych słuchaczy „uroczymi” opowiadaniem (często i przez radio) o biegu za lisem w dniu św. Huberta. Zamiast takich opowiadań, stanowiących przedziwną mieszaninę kobiecej fantazji, z pochwyconymi przypadkowo pseudo-fachowymi wyrażeniami, trzeba spojrzeć śmiało w oczy rzeczywistości i domagać się — jednej małej rzeczy — realizowania okólnika o chorych koniach.

Mimowoli przypomina się ustęp z Żeromskiego Powieści o Wąlgierzu Udałym: „Niedostany, kwietny łan, niwa bodze poświęcona Kosci tam koni Swaroga w ziołach bieleją. Grzbietu koni Swaroga nie dosiadał przynigdy człowiek. Nie okiełzał ich uszdą jeździec, ani opasał popręgiem. Nie zniewazył ich rzemień kisciencia, ani dotknęło pogłaskanie. Nie obciążała ich przynigdy praca, ani ogłuszył zgiełk boju o ludzkie krzywdy”.

JOZEF GIL.

W młodych oczach

KOLUMNA POEZJI I SZTUKI

MŁODEGO WILNA

Red. J. Czerni.

Nr. 4-5

RENICZ ZIEMOMYSŁ

JAWOROWA POEZJA

Tomik Jana Baranowicza* jest miłym objawem, rodzącej się poezji regionalnej śląskiej, poezji czysto rodzimej, zakwitającej wprost z naturalnej porzeby własnego rozwoju. Nie jest to czymś gołosłownym i apodyktycznym. W dotychczasowej twórczości — Śląsk był niemal zawsze egzotyczny, piękny, wyrastał lasem kominów, historią bieda - szymbów i mrokiem kopalni. Tematyka owa była ciekawa i popłatna. Bardzo rzadko jednak wyrastała z samego gruntu, miała raczej charakter artystycznej informacji. Pisali to zresztą przeważnie ludzie napływowi. Tym cenniejszą więc staje się skromna pozycja młodej twórczości prawdziwych Ślązaków. Poezja Baranowicza nie olśniewa i nie krzyczy egzotyka. Wypływa z podłoża, jakim jest człowiek. Jest raczej spowiedzią i wiara. Zdecydowana przewaga motywów ludowych, tęsknota za wsią, przywiązanie do ziemi, niechęć naturalna do miasta, zdrowa

* Jan Baranowicz „Pieśń o jaworowym krzaku” Katowice 1938, Biblioteka „Kuznicy” str. 88. Drzeworyty wykonał Alojzy Majcher.

Świetlica

*Bohomazów nieumiar rozwidlony szcudrze
na ścianach. Gazda sprzętów — stół skrzynia-ornawa.
Pasyjka — świętość kramu z różańcem na bi drze.
Łóko w honorze poduch — dziewczynska wyprawa.*

*Szafa mis okrągłością dostatek gęb kreśli.
Obłesnie piec nalepą w pół izby się trudzi
Na ociosie stragarza wiersz — majstersztyk cieśli:
„niech Bóg błogostawi ten dom i w nim ludzi”.*

Należy tylko z tego się cieszyć i życzyć autorowi, aby nie zboczył z raz obranego kierunku. Miałbym prawdziwą satysfakcję, gdybym otrzymał w przyszłości od poety jakiś nowy utwór do kolumny. Zbiorkowi, który odznacza się ładną szatą graficzną i jest ozdobiony drzeworytami A. Majchera — jedno można tylko zarzucić. A mianowicie brak objaśnień wyrazów gwarowych mniej popularnych. Zresztą nie jest to tak istotne.

Należy przyklasnąć inicjatywie „Kuznicy”, która wydała też W. Szewczyka poemat „Hany”. Ukazanie się takich tomików nasuwa wiele refleksyj. Naogół mało mamy światła wśród współczesnej poezji. Starsze pokolenie wygasa — trawione własnym, niezaspokojonym głodem wyrazu i formy. Poezja ta potrzebuje odrodzenia, nowego źródła. Przyjdzie ono zdaje się właśnie z prowincji, z regionów ziemi śląskiej, zrodzi się

chłopska religijność i kult maryjny, przewijający się w wierszach („Madonna Gidelska”, „Figura”, „Litania loretańska”) ma swoją wymowę. Tu właśnie kryje się talent. Autor wyszedł od siebie, z kręgu własnego życia, które wskazało kierunek potrzeb artystycznych. Poezja ta nie jest konstrukcją ładną czy jakąś ładną etykietą. Przeciwnie łączy się z rzeczywistością poety. Wyraz utworów przemawia zawsze szczerą prostotą i siłą uczucia nie zamykanego klamrami zawiłych metafor i elips. Z piękniejszych wierszy zasługują na uwagę: „Modlitwa”, „Pole”, „Litania loretańska” i „Pieśń o jaworowym krzaku”. Najładniejsze są jednak bezsprzecznie utwory: „Świetlica”, „Najazd dziadów” i „Gadka”. Baranowicz w nich właściwie zaniknął swój dorobek poetycki. Ostatni wiersz „Gadka” — to jakaś klechda, ballada, osiągnięta przez mistrzowską czasem trawestację motywów z pieśni i opowiadań ludowych. Odznacza się wielką prostotą i śpiewnością. „Najazd dziadów” jest w stosunku do wierszy w zbiorze — prawdziwym arcydziełem. Trzeci utwór najkrótszy dla ilustracji drukujemy:

w młodych Baranowiczach i Szewczykach, powieje twórczością Pawła Kubisza, a Fierli, powstanie wśród robotników — zwiastując Dobrzyńskiego, rozbłyśnie wśród synów goralskich, dając „Poezję młodego Podhala”, zakwitnie wśród nieznanych poetów na Wołyniu, Lubelszczyźnie, na Pomorzu, czy Wileńszczyźnie. Trzeba tylko czujnie nasłuchiwać. Piękne i skończone formalnie utwory — zastąpi zdrowy śpiew ziemi i pracy, chłopska tęsknota za Bogiem, wiara w siebie i ludzi. Prosta to będzie poezja, czerstwa jak glon razowego chleba, ale chyba ona tylko oczyści zintelektualizowaną atmosferę swoim powiewem wolnej przestrzeni i niezwalczoną jak instynkt miłością do gruntu. Będzie to właśnie taka „jaworowa poezja”. Jakże pisać o niej inaczej niż z zachwytem, teraz, gdy dopiero się rodzi młodziemcza i czysta.

KONSTANTY DOBRZYŃSKI

(Poznań)

Codreanu

Gdy za tobą ze szczękiem zairząsnęto kraty,
Wiedzieliśmy, że koniec, że nie wyjdiesz żywy.
Zbyt groźny byłeś wszakże, zbyt pięknie skrzydlaty,
zbyt wspaniale ciął wichry huragan twój grzywy.

Zbyt parzący był płomień twych orlich uniesień...
To nie dobrze, tak widzisz nie można, nie można...
Więc cię jak psa wściekłego zastrzelono w lesie
i jeszcze się do trupa zbliżano z ostrożnością...

O... czternastu was było upiornych i białych
i czternastu od razu wśród drgawek śmiertelnych...
Tak niezwykle... las, ciemność, a nie został żaden,
te strzały były takie... dziwnie, dziwnie celne.

O... cóż mówić daleki towarzyszu broni —
zakopany, wdeptany pod więziennym murem.
Kruki kraczą nad głową, kruki w nieboskłonach,
kruki słońce zakryły, jak złowroga chmura.

Patrz, patrz w niebo bez przerwy, słońce kiedyś błysnie.
W tym lesie, w tym skrwawionym twój pomnik powstanie,
wysirzeli nad błękity i tęczę zawisnie,
stać będzie nad narodem jak Boży Archanioł.

STANISŁAW SKONECZNY

(Radom)

Pamięci przyjaciela

Senny zmierzch nad moim miastem. Żegna dzień odchodzący
ciszę przedmieścia. Sady chłoną chłód,
który wiatr daleki przywiał. Ciszy żaden krzyk nie zmąci.
Zachód dojrzały pachnie jak chleb i miód.

Białe płatki, kwiat na kasztanach.
Niebo wybuchnie gwiazdami.
A ja myślę o tobie, przyjacielu na omijanej przez wszystkich ścieżce.
Włosy głaszczę powiew pluszowymi rękami,
usta całuje chłód jak w sentymentalnym wierszu.

Łomoc wiatr krajobrazem ubogim.
Jak mi nie myśleć o tobie? Dymią bliskie zagrody.
Gnąją bydło. Kurz wypływa z pod racic na drogę.
Drzewa idą w noc czarnym pochodem.

W okna chat horyzont bije pożogą.
Modlą się w noc spokojną niespokojne brzozy.
Ale moje usta nie mogą się modlić, ani mówić nie mogą.
Turkoczą wozy.
Na piasku dzwonią kroki brzękiem żołnierskich łopat.
I jedno powraca uparcie:
twoje życie przysypał ziemią i listowiem
burzliwy
hiszpański listopad.

ALFRED KOWALKOWSKI

(Bydgoszcz)

Pierwsza pieśń

Wzeszła z bagien cztery rude łuny
wplotły ogień w grzywy rącznych chmur,
ponad światem wicher rozpiął struny —
pazurami jęków wbił się w bór.

Jeszcze echem broczy głuche wycie
dobijanych krwawiącym krzemieniem,
a już kona silnych mchów poszycie
zgliszczem kości — cmentarzem płomieni.
Nad pagórem, w zachód zanurzonym,
krążę, gwiazdy łowiąc w łopot skrzydeł —
kruk leniwy, syty warem słonym
i padliną, pokłutą przez dzidy.

Wyżej księżyc — tępy nóż kamienny,
rozżarzony gwałtami północy —
jego szlakiem ku źródłom tajemnic
pełźnie cień, co w sobie noc przekroczył.
Smolną śmiercią nad leżącym wiszę;
czekam: patrzy, gdzie mu mrok zaświta.
W dali ziębły ogień. Wtedy ciszę
przebił róg i sen pośmiertny witał.
Wyją ludzie i wilki. O wzgórze
bije skowyt i huczy po drzewach.
Tylko tu ktoś oczy gubi w chmurze:
wie, że blisko, chce wołać — i śpiewa.

Znowu róg. Lecz w tonów zawierusze
czarna pieśń już wietrzy krew znad sosen.
A ja nagle — czując w sobie duszę —
kracze obco — dzikim, ludzkim głosem.

JANINA BRZOSTOWSKA

(Warszawa)

Śpiew przedwieczorny

Niepojęty jest świat
po którym chodzę;
zagmatwany —
Wydaje się trwać wraz ze mną
kiedy przystaję przy drodze,
a przecież mijamy.

Ucieka czas,
choć bez ruchu
stoją ogromne drzewa
w dzień bezwietrzny i cichy.
W wieczność
fala chwili się przelewa,
tylko do ust ją przychyl.

Ręce moje są mocne
i tętni w nich krew,
a przecież
co dnia są słabsze —
daleko, wesoło niesie się śpiew,
a jednak
ucichnie na zawsze.

Nic nie trwa.

JAN HUSZCZA

Dwie zwrotki

Wilno. Idę ulicami i wiem, że tak samo
tam w Moskwie, tam w Rzymie, Pradze, Jaśle i Berlinie
oczy wznosić ku niebu a nocą śluby łamać
i kolory wszystkich smutków mylić w złotym winie.

Tu i tam lustra umieją przerażać jednako
w nicych jesieniach niema pożegnań ławiejszych.
Którym trzeba, zawsze będę z twarzą w dłoniach płakać.
nieś znużenie i samotność wszędzie nietutejszą.

MARIA GWOZDOWSKA-BURCZYKOWA

ze szkiców poetyckich

Sen

Z pod uchylonych powiek wyklnął się lazur czysty, jak niebo w dzień słoneczny.
Oczy ogromne mieniące się srebrem szafiru, to znowu płowym fioletem gasnącej purpury
zachodu patrzyły w przestrzeń dalszą niż otaczającą.

Długie rzęsy zdawały się być cieniem dopiero co zbudzonej świadomości.
Na co patrzyły oczy? Czy na świat błyszczący od barwnego roju motyli skrzydeł, czy
na świat matowy, rzeczywisty, jednostajny jak regularne uderzanie zegara, w ciągu godzin długich
i sennych, których końca nie można się nigdy doczekać.

Na co patrzyły i na co czekały oczy o niezmaconej barwie lazuru? Czy na chwilę, którą
nieznana ręka zawiesiła w sferze odwiecznych tajemnic, czy na tę, która się spala niezmiennie
we własnym płomieniu i niezmiennie zeń jak Feuiks powstaje? Pytanie trwożnie omijało szlaki,
na których się czaiły ślady odpowiedzi...
Łupków, dn. 25.II.1937.

TEODOR STORM.

Gdy Marta od czasu śmierci swoich rodziców widziała wokół siebie niewielu ludzi i gdy zwłaszcza prawie sama spędzała długie, zimowe wieczory, wówczas żywa, specjalnie jej właściwa, fantazja dawała otaczającym przedmiotom pewnego rodzaju życie i świadomość. Kołowrotek Marty, rzeźbione brązowe krzesło były bardzo osobliwymi przedmiotami, miewającymi często najdziwniejsze kaprysy; szczególnie można to było powiedzieć o staromodnym zegarze stołowym, który kupił był nie żyjący ojciec Marty. Na targu starzyny w Amsterdamie, przed pięćdziesięciu laty, — już wówczas jako rzecz prastarą. Zegar, rozumie się, wyglądał dosyć szczególnie; dwie wycięte z blachy i pomalowane nimfy morskie opierały z dwóch stron przyozdobione długimi włosami oblicza o żółkły cyfryblat, opasywany ku dołowi przez łuskowate ciała ryb, które świadczyły o dawniejszej pozłocie; wskazówki zdawały się być skopione z ogona skorpion. Tryby zegaru były prawdopodobnie starte przez długie użycie, bo wagi czasami jechały nagle kilka cali w dół. — Zegar stanowił najwymowniejsze towarzystwo dla swej właścicielki; wtrącał się nawet do jej myśli. Gdy Marta chciała się smucić z powodu swego samotnictwa wtedy zegar wybijał swoje: tik, tak!, tik, tak! — co raz twardziej, coraz wnikliwiej, nie dawał spokoju, wdzierał się w jej myśli. W końcu Marta musiała się otrząsnąć ze smutków skoro słońce tak ciepło grało w szyby okienne, goździki pachniały słodko na desce parapetowej, a na dworze jaskółki świszcząc śmigły po niebie. Marta musiała być znowu wesołą, świat koło niej był zupełnie miły.

Były święta Bożego Narodzenia. Wigilię — gdy olbrzymia śnieżycza zagroziła mi drogę do domu — spędziłem na pewnej znajomej, licznej w dzieci, rodziny. Choinka była oświetlona: dzieci, krzycząc radośnie, rzuciły się do długiego zamkniętego pokoju, gdzie odbywała się wigilia; potem zjedliśmy nieodzowne karpie i wypiliśmy do nich „Bischofa”; o niczym nie wspomniano w tej tradycyjnej uroczystości. — Następnego dnia poszedłem do Marty, aby złożyć jej zwykłe życzenia świąteczne. Marta siedziała podpierając się ręką o stół, a jej praca zdawała się od dawna spoczywać w spokoju.

„Jak Pani spędziła wczoraj wieczór wigilijny?” zapytałem. — Ona spojrzała na ziemię i odpowiedziała: „W domu”. — „W domu? A nie u dzieci Pani siostry?” — „Ach, rzekła, od tego czasu, gdy moja matka przed dziesięciu laty umarła w wigilię, tutaj, na tym łóżku, nigdy nie wychodziłam z domu w wieczór wigilijny. Moja siostra przysyłała wczoraj po mnie i żdy się ściemniło, myślałam długo, czy by jednak nie pójść; ale stary zegar był tak zabawny, śmieszny i było tak, jakby ciągle mówił „Nie czyń tego! Nie czyń tego! Czegoż tam chcesz? Nie powinnaś tam spędzać wieczoru wigilijnego!”

I Marta pozostała w domu, w małym pokoju, gdzie bawiła się jako dziecko, gdzie później zamknęła swoim rodzicom oczy i gdzie stary zegar tykał zupełnie jak wtedy. Ale teraz, gdy spełniła się jego wola i Marta wydobytą już suknię świąteczną zamknęła w szafie, — teraz tykał cicho, zupełnie cicho, coraz ciszej, aż w końcu — niedoszłyszalnie.

Marta mogła się oddać bez przeszkód wspomnianiu wszystkich wieczorów wigilijnych w jej życiu: w brązowym krzesle znowu siedział jej ojciec, ubrany w czarny tużurek i małą, aksamitną czapkę; tak miło patrzyły dzisiaj jego poważne zazwyczaj oczy; był przecież wieczór wigilijny — — — wieczór wigilijny. ach! przed wielu, bardzo wielu laty! — Płonącej choinki nie było wprawdzie na stole — jak to było w zwyczajach ludzi bogatych — ale zamiast niej — dwie wysokie, grube świece, od których mały pokój stawał się tak jasny, że dzieci musiały pożądnie osłaniać rękoma oczy, gdy odważyły się wejść z ciemnego przedsionka do pokoju. Potem szły do stołu, ale według zwyczajów domowego — bez pośpiechu i głośnych oznak radości, i przypatrywały się temu, co dostały na gwiazdkę. Nie były to, rozumie się, drogie zabawki, lecz pożyteczne i potrzebne rzeczy, jak ubranie, buty, tabliczka,

STARY ZEGAR

(Nowela wigilijna z dawnych lat)

śpiewnik... ale dzieci były i tak szczęśliwe ze swojej tabliczki i nowego śpiewnika i szły — jedno za drugim — aby pocałować w rękę ojca. gdy on, zadowolony, uśmiechając się, siedział w swoim krzesle. Matka zawiązywała dzieciom nowe fartuszki i rysowała liczby i litery do przepisywania na nowej tabliczce. Matka nie miała jednak czasu, musiała być w kuchni i piec ciastka z jabłkami, które trzeba było koniecznie upiec, bo one to były głównym podarunkiem dla dzieci w wieczór wigilijny. Potem ojciec stworzył nowy śpiewnik i zaintonował swoim czystym gło-

sem: „Radujcie się, śpiewajcie, chwaląc Boga!” — zaś dzieci, które znały wszelkie zwyczaje domowe, zawtórowały: „Przyszedł Zbawiciel!” — i śpiewały kolędę do końca, a podczas śpiewu stały dookoła ojcowskiego krzesła. W przerwach śpiewania słychać było krzątanie matczyne w kuchni i trzaskanie ognia.

Tik, tak! — szedł znowu zegar — tik tak! — coraz twardziej, coraz wnikliwiej. Marta zerwała się z miejsca; koło niej było ciemno, tylko na ulicy, na śniegu leżało posępne światło księżycowe. W domu panowała grobowa cisza, w której

JÓZEF CZERNI

WIGILIA

TYM WSZYSTKIM, KTÓRZY
NIE MOGĄ ZASIAĆ DO WSPÓLNEGO STOŁU
W WIECZÓR NARODZIN MIŁOŚCI,
SŁĘ SŁOWA ŻYCZEŃ: — SERCE.

Mamo! — już gwiazda spadła.
Przez mróz idzie ciepło i miłość
a w nas jest choinka i radość,
i ręce splecione ze łzami
prostotą

i prawdą zawiłą.

Pragnieniem w siebie mnie zamień.

Opłatkiem jak duszą się złamię,
wargami i szeptem się modląc.
Dziecięcą tęsknotą,
nadzieją

ciebie

wypłotłem...

Mamo! — w piersiach twych płoną życzeniem:
Pragnę Tobą i nocą Bożą się śnić,
dzieciństwo przeżyć i zapomnieć,
snem kojącym w twą starość się wryć.
Chciałbym namo —
w ten wieczór,
gdy rękoma zaklinasz mię w siebie,
aby Bóg przy tym stole stanął
i opłatkiem się dzielił i niebem,
aby Siebie w nas dojrzał
i przeczł.

Na poddaszu... wśród nędzy na dworze
dużo miejsca na serce i radość,
wiele marzeń ziębniętych i drżących,
tyle snów nieprześlonych
i pod murem skulonych,
murznących
w pokorze...

W tę noc grudniową Pa'ie,
trzeba biegać jak króla napoić.
Uła bezdomnych wyrośnij mieszkaniem,
jodełkę opal jak wszystkim,
bądź bratem każdemu i bliskim
i sercem przełam się swoim.
Ból dziecięcy na gwiazdy rozwlekaj,
sierocie daj matkę poznać nieprzypomnianą
i grbem nieznanym daleką...

Zi miłość wśród nocy zbłąkną,
za wiarę i śród krzyczące niemo do gwiazd,
za szysę — na śniegu krwawe plamy
życiem dziś modłę się, mamo!...

Świeczki — sny zapomniane, nieśmiałe
kw tną złotą, czarowną chrynką
i dziecinny, przytulnym pokojem,
są oczu zdziwionych powojem
i w obraz zakłęta,
noga
dziewczynką...

W wierszach mieszkam: nadzieja i ciało,
mrok i słońce, i ziemia.

Grudniowe słowa: matki nie mam.

W żadną wilię — nie miałem..

Odpowiedzi Redakcji

W. P. W. M. — Kraków. — Wiersz umieściliśmy. Artykuł zdaje się, że pójdzie Numer wysyłamy. Oczekujemy na uregulowanie prenumeraty. Dla ułatwienia — wpłacić na adres red. kolumny.

W. P. Maryna S., maj. Józefin. — Niestety „zagródek” nie mamy. Każdy, kto u nas się pojawia — jest sobą bez musu, ale właśnie musi dawać coś pozytywnego, a nie negację i hurra-słówka. Zbyt szybko rośniemy, aby tracić czas na wytykanie wad. Subtelności — nigdy za mało, a zwłaszcza obecnie. Cześć M. S.!

W. P. Red. St. Skoneczny — Radom. Pamiętając o liście, zarezerwowałem dla Pana miejsce do następnego numeru. Termin już mija. Pozdrowienia i życzenia świąteczne!

tylko tykał zegar. Nie śpiewały w małym pokoju dzieci i trzaskał ogień w kuchni. Marta została sama jedna, a inni byli daleko. — Ale czegoż chciał znowu stary zegar? — Gdy wskazywał jedenastą, wtedy inny wieczór wigilijny pojawił się we wspomnieniach Marty. ach! zupełnie inny, wiele, wiele lat później. Ojciec i bracia nie żyli, siostry powychodziły za mąż. Matka która została teraz w domu z Martą, zajęła od dawna miejsce ojca w brązowym krzesle i przekazała córce małe kłopoty gospodarstwa domowego, bo sama niedoścignęła od śmierci ojca: miła twarz matki ciągle bladła, łagodne oczy patrzyły bez wyrazu. W końcu musiało matczyńsko cały dzień leżeć w łóżku. Stało się to właśnie przed trzema tygodniami, a teraz — był wieczór wigilijny. Marta siedziała przy łóżku i przysłuchiwała się oddechowi drzemiącej. W pokoju panowała grobowa cisza, tylko zegar tykał. Gdy wskazywał jedenastą matka otworzyła oczy i poprosiła Martę o wodę do picia. „Marto”, rzekła, „gdy będzie wiosna i gdy będę znowu zdrowa, wtedy odwiedźmy twoją siostrę Hanę. Widziałam właśnie we śnie jej dzieci. Tutaj, Marto, nie masz żadnej rozrywki”. Matka zapomniała zupełnie, że dzieci Hanki umarły późną jesienią. Nie pamiętała o tym również Marta. Skinięła milcząco głową i ujęła opuszczone ręce matczyne. Zegar wybijał jedenastą.

Teraz wybijał także jedenastą, ale cicho — jakby z dalekiej, dalekiej dali...

Marta usłyszała potem głęboki oddech. Myślała, że matka znowu zasnęła. Siedziała więc cicho, bez ruchu, trzymając rękę matki, a w końcu zaczęła drzemać. I mogła upłynąć tak dobra godzina, gdy zegar wybił dwunastą! — Świeca wypaliła się. Księżyc świecił jasno w okno. Z poduszki patrzyła blada twarz matczyne. Marta trzymała zimną rękę. Nie puściła tej zimnej ręki. Siedziała całą noc przy zmarłej matce.

I tak oto Marta siedziała ze swoimi wspomnieniami w tym samym pokoju... a stary zegar tykał raz głośniejszy, raz ciszej... wiedział on o wszystkim, wszystko wspólnie przeżył, przypominał Marcie o wszelakich jej sprawach, o cierpieniach i małych radościach.

Tłumaczył Z. Nowak.

Wydawnictwa

„KURIER BIBLIOTECZNY”. Pismo dla miłośników książki i zbieraczy okazji bibliograficznych.

W Krakowie zaczęło wychodzić pismo poświęcone sprawom książki i bibliografii. Pierwsze numery tego pożytecznego wydawnictwa odznaczają się jasnym i celowym układem. Obok interesujących i krótkich artykułów o książce jest bogaty biuletyn księzek przygodnych, rzadkich, ciekawych. Numer dopełnia dział kroniki i subskrypcja na grafiki Jara Wałacha. Redaktor K. B. informuje swoich czytelników w sprawach bibliograficznych a także służy praktyczną pomocą w poszukiwaniu i dostarczaniu cennych a rzadkich wydawnictw. Redaguje Igor Demian.

Nowości poetyckie

Aleksander Rymkiewicz „Potoki”. Poezje. Zw. Zaw. Lit. Pol. Wilno 8—XII—1938 r. str. 45+3 nlb.

Stanisław Skoneczny „Ziemia była szeroka” Warszawa 1939. F. Hoesick, str. 21+3 nlb

Alfred Kowalkowski „Dal widziana” Bydgoszcz 1938. Biblioteka Rady Artystyczno-Kulturalnej w Bydgoszczy. Tom I, str. 54+2 nlb.

Jan Baranowicz „Pieśń o jaworowym kraku” Katowice 1938. Biblioteka „Kuznicy”, str. 87+1 nlb.

Wilhelm Szewczyk „Hlany”, poemat. Katowice 1938. Biblioteka „Kuznicy”.

* *

Sygnałujemy

ostatnią wileńską nowość poetycką

Aleksander Rymkiewicz: „Potoki”.

Dla znajomych i miłośników A. Rymkiewicza jest to bardzo miła, prawdziwie gwiazdkowa niespodzianka po dosyć długim pozornie milczeniu poety młodego pokolenia.

Uwaga! Kolumna noworoczna będzie również rozszerzona i wyjdzie jako numer podwójny. Ukazą się w niej poezje: —

Stanisława Czernika (r. d. „Okolic poe-tów”), Janiny Brzostowskiej (red. „Skawy”), Stanisława Skonecznego (red. „Zagwi”), Alfreda Kowalskiego, Tadeusza Jaszowskiego i Józefa Czerniego.

Zwracamy uwagę na dział humorystyczny kolumny p. t. „Piłana Poezja” na stron. 8-jej.

KOLEGOM — POLONISTOM WSZYSTKICH UCZELNI, WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM, SYMPATYKOM I TYM ROZPROSZONYM A DALEKIM POETKOM I POETOM, KTÓRZY JESZCZE NIE ZAWITALI DO WILEŃSKICH STRONIC NASZEJ KOLUMNY —

PRZESYŁAMY

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I ŻYCZENIA PRZYSZŁEJ, TRWAŁEJ WSPÓŁPRACY.

REDAKCJA W MŁODYCH OCZACH

Terminy nadsyłania materiałów: — 5-go i 20-go. Pożądane maszynopisy. Poeci, którzy nie wydali własnego tomiku — proszeni są o większy wybór. Odpowiedzi udziela się w kolumnie. Listownie — po nadesłaniu znaczka pocztowego. Recenzje będziemy zamieszczali tylko o wydawnictwach i tomikach, nadesłanych pod: Józef Czerni, Wilno, Bouffałowa Góra 4.

HENRYK POLAKOWSKI.

Nie chcemy, nie możemy, nie mamy prawa umierać!

10 grudnia b. r. zespół redakcyjny „Spraw Otwartych” zorganizował odczyt swego współpracownika ks. Bolesława Gramza p. t. „Prawda o Z. N. P.” W przed dzień odczytu w miejscowej prasie lewicującej ukazały się artykuły członków Z.N.P., które w dość nieobliczalny sposób zaatakowały osobę prelegenta i organizatorów odczytu. Odpowiadając na bzdury, których pełno w wymienionych artykułach nie mamy zamiaru. Zresztą każda polemika w tym wypadku jest niemożliwa. Mamy wrażenie, że nawet sami autorzy napastliwych artykułów, po wysłuchaniu rzeczowego odczytu księdza Gramza, zrozumieli to doskonale. Jedno tylko zdanie z jednego z tych artykułów bierzemy jako punkt wyjścia.

Pan Józef Polański („Kurier Wileński” 9.XII) pisze: „Odczytowi patronuje formalnie zespół redakcyjny lokalnego pisemka, który myśli, że na szkalowaniu nauczycielstwa wyrośnie poczytność jego organu”.

Czy naprawdę organizując odczyt o Z.N.P. (nie o nauczycielstwie!) „Sprawy Otwarte” chciały tylko zrobić sobie reklamę? Czy odczyt ten był przypadkowy, czy przeciwnie jest ogniwem pewnej przemyślanej akcji?

Zeby na to pytanie odpowiedzieć trzeba nam się znacznie oddalić od spraw Z.N.P. i ostatniego odczytu.

Zacznijmy niezbyt długą dygresję.

W roku bieżącym byłem w przejeździe przez 1 dzień w Lublinie, po 8-letniej niebytności w tym mieście. Prosiłem znajomych, by mi pokazali, oczywiście tylko z grubsza, tę stolicę wschodniej części C. O. P-u. Okazało się, że na takie powierzchowne zwiedzenie i jednego dnia było za dużo. Pomyślałem sobie: ileż my w Wilnie mamy do pokazywania naszym turystom. Na takie — nie zwiedzanie — ale oglądanie miasta nie wystarczyłoby nam i dwóch dni. Bo to, prócz śródmieścia, które jest jednym wprost pomnikiem wielkości i sławy starego Wilna, jest przecież i Zwierzyniec i Antoko! — Zarzecz, Zakret i Rossa. Nie chodzi tu już o obszar miasta, ale o to przede wszystkim, że co krok trzeba przystanąć, wejść, obejrzeć.

To jest proporcja między tymi dwoma miastami, proporcja może grubo ciosana, lecz — na tyle znam Lublin i od tego jestem wilaninem, by się odważyć powiedzieć — proporcja prawdziwa.

Tymczasem — od 1931 r. w mieście tym wybudowano chyba z dziesięć razy tyle co w Wilnie pięknych, nowoczesnych, piętrowych, żel-betowych, prywatnych domów.

I to jest dysproporcja między Lublinem i Wilnem — dysproporcja między dawną wielkością, a dzisiejszą żywotnością.

I tak jest nie tylko z Lublinem, ale prawie z każdym miastem na zachodzie Polski.

Oto prawda:

Jeśli chodzi o kulturę materialną — **Wilno jest miastem zamierającym.**

Niech nas nie łudzą pomalowane niedawno domy, wybudowane trzy państwowe gmachy, odrestaurowane dzielnice Rossy i

Zakretu, kostka na głównej ulicy Mickiewicza. To — reprezentacja. Ba, może skutki wielkiej polityki międzynarodowej. To nie „dynamizm” Wilna.

Ale ktoś powie, że Wilno nigdy się nie wślawało bogactwem tylko wielkością umysłu, gorącym sercem i kulturą. Może więc pod tym względem prym trzymamy w Polsce.

Ano zobaczymy.

Zacniemy od swego, ciasnego podwórka. „Sprawy Otwarte” wydały pół roku te-

Rozsprzedaż wzięła na siebie jedna z największych księgarni polskich.

Oto podejście Wilna do spraw kultury duchowej.

Nie chodzi nam o ten poszczególny przykład. Stracimy — to stracimy. Zostało nam jeszcze przed tym t. zw. branie siłą czytelników — kolportaż młodzieży akademickiej. Nie chodzi więc o „rozpac” ale — przykład charakterystyczny.

Co gorsze, jest ich znacznie więcej. Kie-

Do niedawna jeszcze w polityce odgrywali wilanianie poważną rolę. Żeligowski, Prystor, Jan Piłsudski, Zawadzki, Staniewicz, ks. Żongółłowicz... Czy podziwialiśmy ich działalność, czy nie — inna sprawa — jednak działali.

Jesteśmy miastem umierającym nawet tam, gdzie byliśmy niedoścignieni.

×

Zdajemy sobie sprawę z braków jakie ma nasze pismo: nierówny poziom, nieregularność ukazywania się, brak sławnych nazwisk itd. itd. Lecz nie w tym widzimy wartość „Spraw Otwartych”. O te rzeczy się staramy, o nie walczymy. **Wartość „Spraw” leży w proteście życia przeciw śmierci, w proteście — przeciw złu**, które się u nas rozpanoszyło. **Manifestujemy wolę życia. Nie mamy prawa i nie chcemy umierać.** Odgradzamy się poczworną ścianą od epidemii uwiadu starczego.

Jest to wynalazek Wilna: uwiad starczy — epidemia. Epidemia, na którą zapadają i młodzi. Było: stary musi — młody może. dzisiaj i — młody musi.

Oto właśnie chodzi, żeby nie musiał. **Nie wystarcza nam pasożytnicze zjedanie urzędniczego chleba — żądamy twórczości, żądamy sławy i wielkości Wilna.**

Smutne jest, że twórczość nasza nie może zdobyć rozmachu młodości. — Jakże tej Ameryce — co tam Ameryka! — jakże tej Gdyni, C.O.P'owi, Lublinowi nawet, zazdrościmy dynamizmu godnego prawdziwej młodości. A jednak i to jest twórczość i to jest dynamizm — jeśli się ma nadzieję. 45 numerów dwutygodnika, 2 broszury, kolumna poezji młodych polonistów, odczyty. To jest dorobek — z niczego!

Niepokojące jest pytanie, dlaczego jednak Wilno umierać zamierza? Trzeba od razu sprawę przeciąć: nie winna temu ani Warszawa, ani Gdynia, ani C.O.P. ani nic cokolwiek się rozwija w Polsce. **Winno jest samo Wilno.**

Wilno oddało rządy — nie te formalne, ale głębsze, istotne — w ręce wrogie. Nad sprawami kultury materialnej tę władzę scedowaliśmy na rzecz Żydów. Kto te rządy pochwylił w dziedzinie kultury duchowej — oto cel poszukiwań „Spraw Otwartych”. Czujemy, że są jakieś sympatie, jakieś nici, może nawet węzły, grupy i koterie wśród wrogów katolickiego i narodowego Wilna, że członkowie tych różnych — nieprzejrzystych — organizacji protegują się, popierają się, opanowują różne instytucje kulturalne, pchają się ławą coraz wyżej w górę — nie umiemy wskazać palcem, którzy to są i jakich organizacji członkowie.

Szukamy prawdy. Nie wyciągamy jeszcze wniosków, tylko obliczamy nieprzyjaciół naszych, badamy ich siłę i sprawność ich organizacji.

Oto prawda o pierwszym odczycie zorganizowanym przez „Sprawy Otwarte”.



„Tutejszy”

fot. J. Bułhak.

mu pracę ks. prof. Klepacza o najznakomitszym katoliku i Polaku lat ostatnich — K. H. Rostworowski. Książka zdobyła liczne i pochlebne recenzje. Osądzono ją, jako jedyną do dziś, syntetyczną rozprawę o zmarłym, genialnym tragediopisarzu polskim.

Wydanie jej — przy wielu względach w drukarni — kosztowało nas 400 zł. Rozsprzedano na Wileńszczyźnie za... 30 zł. Zły kolportaż? Ani gorszy, ani lepszy niż u innych.

rownicy filij wileńskich polskich księgarni nazywają nasz księgarski rynek zbytu katastrofalnym, zadne pismo kulturalne nie mogło się utrzymać w Wilnie przez dłuższy okres czasu, niewileńskie czasopisma kulturalno-literackie idą bardzo źle.

A inne „branże”? — Proszę wymienić znakomitych literatów, artystów dramatycznych, malarzy, poetów, rzeźbiarzy, powieściopisarzy? Proszę... czekamy.

niepodobna do innych, żaden podbity naród nie różnił się tak diametralnie od swych suwerenów, jak właśnie zhołdowana podówczas Judea.

Podstawy tyci różnic szukać należy w politycznej przeszłości narodu żydowskiego, która w szczególny sposób spotęgowała wrodzone właściwości Semitów. Ziemia ich była istotnie „obiecana”, choćby pod względem korzystnego położenia w stos. do wielkich dróg handlowych. Ale ta wybitnie uprzywilejowana sytuacja nigdy przez żydów wyzyskana nie została. Jeżeli bowiem sam Jehova przeznaczył im Palestynę na zamieszkanie — to sąsiadów umiał chęta dobierać wszystkie demony starożytności.

Państwo żydowskie wegetowało wciśnięte między olbrzymie, zaborcze potencje. Egipt, Babilon, Hatti, Persja groziły niustannie zagładą Izraelowi. A cóż sądzić o sąsiedztwie najpotworniejszego państwa wszystkich czasów, które pochod swój zawsze znaczący piramidami ściętych głów, a mury zdobytych miast okrywało skórami, żywcem zdartymi z jeńców wojennych? Z potęgi asyryjskiej śladu wkrótce nie zostało, z wyjątkiem chyba głębokich bródz w psychice ludów, skazanych na takie sąsiedztwo.

Dowodów na to ostatnie twierdzenie szukać należy właśnie w duchowym kształcie narodu żydowskiego. Ścisnięta ze wszystkich stron, wiecznie zagrożona w samym swoim bycie nacja z biegiem czasu okaleczała psychicznie. Charakterystyczna rzecz, że żydzi w wielu dziedzinach kultury (n. p. tak

fundamentalny dział, jak architektura) wykazali zdumiewającą jałowość. Braki te rekompensowała hiperprodukcja w kierunku, którego nie zagrażał żaden faraon, a skąd mógł przyjąć ratunek. Izrael stał się „narodem wybranym”, reprezentantem swoistej i niepowtarzalnej prawie formy supernacjonalizmu o zabarwieniu religijnym.

Ustawiczne poniżenia, łzy, wylane nad rzekami Babilonu, wynagrodzi z nawiązką przyszłe władztwo nad światem, nieustanny mit... Lux in tenebris”, ale i „somnia vigilantium”.

Z tą wypokraczoną psychiką ciągle odstawiali wokół siebie żydzi atmosferę obcości i wrogości, zachowując aż do dni naszych tendencje powstałe przed tysiącami lat. Zławsza zaś trudno sobie wyobrazić rzeczy bardziej przeciwstawne, niż tę jednostronną, eliminującą przede wszystkim umysłowość żydowską z jednej i wszechogarniającą myśl grecką z drugiej strony. A Rzymianie przecież byli uczniami Greków. Oni też sformułowali najistotniejszą zasadę kultury klasycznej: „jestem człowiekiem i nie ludzkiego nie jest mi obce”.

Taki był wizerunek psychiczny kraiku, który Pompeusz włączył do wieńca państw zależnych, obalającego od wschodu granice Imperium. Wielkiemu Rzymianinowi prawdopodobnie do głowy nawet nie przyszło, jakie procesy jeżeli nie zapoczątkował — to w każdym razie znakomicie ułatwił.

(Dalszy ciąg w numerze następnym)

TADEUSZ ŁĄGĘZA.

Dziedziczni wrogowie Imperium

Gwałtowne zaognienie i międzynarodowo rezonans kwestii żydowskiej zaliczają się niewątpliwie do skutków wojny światowej.

Badacze tego zagadnienia skłonni są do popełniania pewnego perspektywicznego błędu, polegającego na twierdzeniu, że sprawa żydowska zawsze występowała z równą siłą, co w drugiej zwłaszcza ćwierci XX w. Oczywiście, istniała i zagrażała, ale to dopiero potworny upust krwi w Wielkiej Wojnie pozwolił narodowi żydowskiemu zająć uprzywilejowane — zgoda, że zawczasu upatrzone — pozycje wśród ludów, które milionami trupów swych mężczyzn w kwiecie wieku zasały skały Calipoli, zapchały błotniste leje Flandrii.

„Połnienie, które wojna zniszczyła, chociaż uchroniło się przed jej granatami” stało się wymarzoną polem działania dla międzynarodowego maklera kulturalnego. Po wojnie nastąpił okres załamania się moralnego i odwracania się od podstaw starej kultury, która nie potrafiła zapobiec wszechświatowej rzezi. Przyjmowano więc wcale ochotnie roznościeli łatwiutkiej „Europy za trzy grusze”, humanistów i humanitarystów specjalnego autoramentu, zanim jednak nie nastąpiła reakcja, której natężenie może służyć za miarę groźącego niebezpieczeństwa.

Usiłowania poszczególnych państw, zmierzające do likwidacji kwestii żydowskiej

mają na celu ocalenie indywidualności narodowych społeczeństw. Istnieje tu pewna pozorną sprzeczność, gdyż antysemityzm, w ostatnich zwłaszcza czasach, nabiera niewątpliwie znamion ruchu międzynarodowego. Sprzeczność to, jakeśmy powiedzieli, pozorna, bo oprócz argumentów natury ściśle praktycznej tłumaczy ją pewien fakt historyczny.

Sprawa żydowska w Europie powinna być jeszcze rozpatrywana, jako dziedzictwo po wspólnym przodku. Niestosownie bowiem postępuje Mussolini, rezerwując na swój wyłączny użytek tradycje starożytnego Rzymu. Nikt nie potrafi zaprzeczyć, że należą one, w większym lub mniejszym stopniu, do wszystkich narodów Europy. Dziedziczymy, zresztą nie tylko tradycje i kulturę, ale i pewne stany faktyczne w polityce, wytworzone przez Rzymian.

Do nich właśnie zalicza się i kwestia żydowska, którą Rzym uczynił międzynarodową. Warto się przyjrzeć jej genezie.

Imperium Rzymskie w I w. przed Chr. obejmowało już obszar olbrzymi. Ale uganijające się za Mitrydatesem, królem Pontu, legiony Pompejusza, zdobywszy Syrię, stanęły u wrót osoblwego kraju. Żadna część kolosalnego państwa nie była tak zasadniczo

JAN PANASEWICZ.

Wieś Male idzie pod komasację

Ktoby wędrował „rzemiennym dyszlem” po Wileńszczyźnie, uczyniłby spostrzeżenia, że w pewnych okolicach znikają gęsto skupione wioski, siedzące przy traktach lub polnych drogach długimi podwójnymi sznurami domów. Zato wszędzie dokoła, wśród pól uprawnych tkwią pojedynczo samotne zagrody.

Widać, że są one niedawno wzniesione. Niema koło nich drzew, budynki stoją nagie, nieprzytulne jakies, jak każde zresztą nowe mieszkanie, do którego wniesiono na poczekaniu meble.

Niekiedy trafiają się jeszcze wioski, ale jakże dziwne: w pewnych odstępach pomiędzy zagrodami sterczą napół rozwalone stodoły, prawie rozebrane chlewy, fundamenty domów, kominy pieców, a wśród tych zwalisk obozują ludzie z łózkami, pierzynami, naczyniami kuchennymi i żywymi stworzeniami. Wędrowiec zatrzymałby się zdumiony: pożar, nie pożar? Pogorzelnicy, nie pogorzelnicy? A gdyby z odpowiednim pytaniem zwrócił się do grubego ciotki, obierającej kartofle przed ogniskiem, otrzymałby odpowiedź bez żadnej intonacji dramatycznej:

— Dyk to nie pożar żaden, tylko my na komasacja, na futury, na kolonii znaczy sia!

Tak: to komasacja. W trosce serdecznej poczęta, idzie od wioski po szarej roli niby ziarno przedziwne — na nowe życie, na lepszy los, dla ludzi, dla kraju całego. Idzie od wioski do wioski i doszła do wsi Male. Odalona o sześćdziesiąt kilometrów od Wilna, leży między miasteczkiem Ostrowiec a Wornianami, na wschód zaś ku Gierwiatom: rozciąga się smętne bezludzie, ogromne, rozległe, zakończone wielką płaszczyzną torfowisk.

Wieś Male — to typowa dla Wileńszczyzny ulicówka o charakterystycznym rozlokowaniu zabudowań: frontem do ulicy stoją domy mieszkalne, dalej chlewy, chlewiki i składy, wreszcie w przyzwolonej odległości stodoły z ogromnymi czapami dachów ze słomy niby cudaczne budowle Polinezyjczyków z wysp południowych.

Za stodołami zaś niema już nic, tylko pola zamknięte od wschodu lasem, od zachodu zaś bagnami, gdzie po zachodzie słońca błoty czort Mikikiejka pali fajkę, siedząc na krwawym pniaku olchowym. Starzy ludzie mówią, że z tego dymu powstają mleczne mgły, które płynąc ponad rojstami, zalewają świat i senne zmory osadzają ludziami na piersiach. Tu rankami wioskowy pastuch trąbieniem na rogu budzi słońce na wschodzie i ludzi z chat wywleka.

Male to niebogata wieś: ludzi dużo, a gospodarstwa niewielkie: cztery hektary, pięć, dziesięć — to już dużo. Chodzą więc tutaj w samodzielną własną produkcję, a jedzą skromnie: kartofle z mlekiem na kolację, kartofle i gryczane bliny ze słoniną na śniadanie, na obiad kawałek mięsa do zupy albo bez. Oto mniej więcej chleb powszedni. Jajka jada do miasteczka.

Male to wieś poniekąd rodowa, wieś niemal w całości utworzona przez rodziny, noszące nazwiska Animuckich. Nazwisko to figuruje niemal na wszystkich tabliczkach domów, do każdego niemal człowieka na polu można przemówić: panie Animucki, w szkole w dzienniku jest tylko litera „A”, słowem Animuccy rozplenili się tu jak biblijny piasek nad morzem. Mieszkańcy wsi są ludźmi zaradnymi, obrotnymi i żywymi, a przede wszystkim społecznie bardzo uświadomionymi. Interesują się nie tylko własnym partykularzem, lecz także szerszym światem i sprawami jego; nie więc dziwnego, że z ich wioski pochodził sołtys gromady. Niestety zmarł niedawno, żałowany przez wszystkich. Potrzebę i korzyści komasacji rozumieją dobrze. Zadowoleni są, że otrzymają scalone kawałki gruntu koło domu, że odwieczna groźba wsi, pożar, zostanie zażegnana, ale — mój Boże — ile tymczasem ta komasacja zwala na głowę kłopotów!

Kłopot przedwstępny i warunek bezwzględny komasacji, to melioracja błot i bagien, a tego wieś Male ma pod dostatkiem. Ponieważ drenaż gliniane są za kosztowne dla ubogiej Wileńszczyzny, przeto należy kopać rowy główne, potem ukośne i mniejsze rowy poprzeczne, a brzoży umocować faszyną. Ciężka to nadzwyczaj praca i pociągająca stosunkowo wielkie koszty. Tak naprzykład w gminie Podbrzeskiej koło litewskiej granicy, gdzie bagien jest moc, obliczają gospodarze wysokość szarwarku na 250 zł. a nawet 300 od włóki ziemi rocznie.

Niestety mieszkańcy wsi Male, jak zresztą wszędzie na Wileńszczyźnie, nie są zadowoleni z wyników takiej melioracji. Przede wszystkim wskutek przekopania rowów zmniejsza się powierzchnia użytkowa osuszonych łąk. Pozatym wyrasta na nich mech, a ginie trawa i niebawem daje się odczuwać brak paszy dla bydła. Pod uprawę ziemia ta

nie nadaje się bez intensywnego nawożenia, gdyż jest to ziemia wybitnie kwaśna, o czym świadczą gęsto wyrastające utrapione skrzypy. Zdaje się, że zanim nie rozwiąże się sprawa nawozów sztucznych i naturalnych, z melioracją trzeba postępować bardzo a bardzo ostrożnie.

Ten kłopot związany z komasacją Male mają już prawie poza sobą, niestety są inne. A więc sprawa przenoszenia budynków: kto niedawno postawił dom, albo chlew, albo gumno, skrobie się w głowę — poco stawiał? Belki nawet nie poczerniały, a już trzeba wywracać wszystko i przenosić. U kogoś zaś chałupa stara — stareńka, że aż do ziemi włązi, ten ma inną biedę: dotknij tylko takiego budynku, a w rękach ci się rozwalą, na pył się rozkruszy i niema co wieść na przenosiny. Trzeba stawiać wszystko nowe, a skąd pieniądze na drzewo, na żelazo? Niestety — Male z małymi wyjątkami jest taką szarą, do ziemi przygarbioną wsią, patrzącą na drogę małemi, łatanymi szybkami okien.

Trzeci wreszcie kłopot i najważniejszy, który niejednej nocy spędzał sen z powiek wszystkim bez wyjątku: ile ziemi dostaną, jakiej i gdzie? Od tych pytań zależy los nie tylko ojców, lecz także dzieci, los całej przyszłości.

Tylko niewielka część gospodarzy zostaje na starych śmieciach, reszta emigruje, na nowy byt, na nowe życie.

Procedura nowego podziału ziemi jest bardzo żmudna i zawiła. Trzeba najpierw wymierzyć grunty poszczególnych gospodarzy, potem obliczyć powierzchnię gruntów całej wsi. Następnie trzeba dokonać szacunku gruntów poszczególnych gospodarzy. Jedni mają ziemię lepszą, drudzy gorszą. Krzywdą więc byłoby, gdyby, dajmy na to, ktoś za cztery hektary czarnoziomu otrzymał cztery hektary piasku; skoro już ma otrzymać ziemię gorszą, to słusznie musi otrzymać więcej. W tym właśnie celu dokonywa się szacunku. Polega on na tym, że przyjmuje się pewną cenę hektara za normalną i według niej szacuje się każdy ka-

wałek gruntu z osobna; hektar ziemi gorszej kosztuje taniej, hektar lepszej drożej.

Przypuścimy, że czterohektarowe gospodarstwo któregoś z panów Animuckich składa się z hektara po 140 zł., z półtora hektara po 130 zł., z trzech ćwierci hektara po 150 zł. i z trzech ćwierci po 160 zł. Suma tych kwot wskazuje, ile ma być warta nowa działka pana Animuckiego. W istocie też działka ta będzie mozaiką gruntów rozmaitej jakości, ale które w sumie dadzą ogólną wartość szacunku.

Szacunek jest utrapieniem mierniczych, przeprowadzających komasację. Trzeba bowiem z zainteresowanymi stronami targować się o każdą piędź ziemi, narażać się na niezadowolone, odwołania i wydawać iscie salomonowe wyroki, aby i wilk był syty i koza cała. Różne bywają pretensje i żądania: ten chce tu, a ten chce tam, ten chce bliżej lasu państwowego, bo tam będzie mógł wypaść bydło za kartkami, tamten chce bliżej mokrady, bo tam łąki, ów nie chce pośrodku, bo łąk nie ma, inny narzeka, że za wysoko więc wody nie dostanie; tamten zaś że za nisko, więc za mokro; ktoś ma kawałek lasu, więc prosi, aby osadzono go przy lesie.

Twardo bronią swych praw właściciele, a pomagają im w tym dzielnie małżonki: myśla, mowa i uczynkiem — zwłaszcza mowa. Naogół jednak wszyscy są zadowoleni: chwalił Bogu, jakoś tam poszło... ale z jednym wyjątkiem! Jak w każdej zresztą wsi, każdy kawałek ma swą nazwę, otóż w Malach istnieje kawałek ziemi, zwanej Pierchon i niedaleko inny — Kurhany. Te właśnie kawałki są najgorsze i mimo to ktoś musi je otrzymać. Tak, ale kto? Spogląda cała gromada na siebie i woli nie rozmawiać na ten temat. Wreszcie okazało się, komu to przypadło w udziale i wszyscy odetchnęli.

Wpada do sąsiada zapłakana „bidulka”, żona pechowego gospodarza i zawodzi:

— A Bożasz ty moj! A cóż my tam będziemy robić? A toż tam wiatr siei a buria bronui!

— Nie płacz, baba, więcej ziemi dosta-

niesz! — pociesza ją sąsiad.

— A cóż mnie z tej ziemi, kiedy tam krzaki rąbać trzeba! A dyrwany orać! A skąd my gnoju nawiezim! A biednaż ja. nieszczęśliwa!...

— Ni durniej, baba. Poprawdzie dasz się tam po robocie nadto, ale i ziemi późniejszą porą będziesz miała jak w raj! — konkluduje sąsiad.

Ostatecznie pogodziła się z losem.

Obecnie Male przechodzą ostatni okres komasacji: przeprowadzkę. Solidarnie pomagają jeden drugiemu. Włazi taki gospodarz z siekierą na dach, okraciemi siadzie na ojcowej chacie, rozejrzy się, westchnie, przeżegna się, w dłonie splunie, ujmie siekierę i zamachnie się. Wreszcie przez strzelinę w rozdartym suficie wpada do zakopconej izby jasne, dzienne słońce, jakieś zawstydzone, zdziwione. Wreszcie po wozach z budulcem wyjeżdżają wozy z poduszkami, pierzynami i dziećmi. Odwraca się baba, a lzy chustką ociera. Każdemu wiadomo: „baba jak kot — nietyla za chato płacze, ile za pierzyno”. Wyrastają nowe zagrody, koło zagród drzewka owocowe. Chłody zimowe przerywają przeprowadzkę. Ale za rok nikt już nie pozna dawnej wsi Male. Tymczasem jadą ludzie na nowy los, na nowe życie...

NA GWIAZDKĘ

Dobre książki dla dzieci i młodzieży posiada w wielkim wyborze

KSIEGARNIA

Gebethnera & Wolffa i S-ki

Wilno, Mickiewicza 16-a. Tel. 6-24.

Teatr na Pohulance.

„Sędzia z Zalamei”

Tak się zawsze nieszczęśliwie zdarza, że premiery w teatrze na Pohulance odbywają się w chwili oddawania numeru „Spraw Otwartych” pod prasę, co znakomicie utrudnia napisanie recenzji w porę.

Niniejsza jest pisana z p. zecerem na karku, przeto elaborat będzie krótki. Obszerne omówienie odkładam do następnego numeru, bezpośrednie wrażenia ujmując zwięźle.

Komedia Don Pedro Calderon de la Barca jest tragedią. Efekty tragiczne splatają się w niej z facecjami „comedia del arte”. Jest to sztuka, nosząca wszelkie cechy sztuki społecznej, temat ten jednak jest nieopłębiony — ogniskuje się raczej w konflikcie osobistym wieśniaka Crespa — nie znajdującym oddźwięku we wzajemnym ustosunkowaniu się stanów.

Kwestie gry aktorów i inscenizacji odkładam do następnego numeru, ponieważ o tych sprawach nie lubię pisać krótko. Znaczące tylko, że najlepiej mi odpowiadał p. Leon Wołłejko (Crespo, Alkad Zalamei) i p. Stanisław Jaśkiewicz (generał). Zresztą może po ochłonięciu moje poglądy ulegną rewizji.

Na tym kończę. Dalszy ciąg za 2 tygodnie.

J. Ł. Pałowski.

OBICIA PAPIEROWE (tapety)

jedyny w Wilnie skład chrześcijański

Ceraty

Linoleum

Szczotki

Pędzle

Chodniki i

Wycieraczki kokosowe

Lakiery i Emalje „Porsa”

Wilno, Wileńska 23 — — tel. 24-51.

„Pędzle — Farby”

Niewyczerpanym źródłem wiadomości o dziejach i obyczajach pradziadków naszych służyć może serja pamiętników

„Wilno i Litwa w I-ym połowie XIX stulecia”

w skład której wchodzi:

1. SZUMSKI. W walkach i więzieniach 1812—1848.
2. MOŚCICKI. Powstanie 1831 r. na Litwie.
3. TURYNINA. W Wilnie i dworach litewskich 1813—1843.
4. JANOWSKI. W promieniach Wilna i Krzemieńca.

Cena kompletu: w broszurze 25.—zł.
w opr. w kilim wileński 40.—zł.

Wydawnictwo Księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Czas wybrać podarki

Prosimy opłacić prenumeratę na nowy kwartał i nowy rok.



- WSZYSCY CHCĄ OTRZYMAĆ:**
- NARTY** komplet z kijami narciarskimi Zł. 21⁰⁰
 - BUTY**, skarpetki i rękawice Zł. 18⁹⁰
 - SPODNIE** narc. granatowe Zł. 15⁵⁰
 - SZAL** z czystej wełny sportowej Zł. 1⁹⁰
 - KOSZULA** sportowa flanelowa w kraty Zł. 6⁵⁰
 - KRAWATY** modne — okazja gwiazdkowa Zł. 1²⁵
 - PALTA** męskie zimowe na watalinie i jedwabnej podszewce z kołn. o imitacji wydry lub oposowym Zł. 110 i 85—
 - SUKNIE** i komplety z czystej wełny w modnych kolor. Zł. 30⁰⁰
 - MYDŁA** „Gwiazdy” 6 szt. w kolorowym pudełku Zł. 1¹⁰
 - „Jas i Margosia” — dwie tańczerki celuloidowe pięknie ubrane Zł. 4⁵⁰
 - WIELKI WYBÓR ZABAWEK I OZDOBY CHOINKOWE**
 - KSIAŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY**
 - Magazyny otwarte** w niezależny dnia 15 b. m. od godz. 13 do 10 w tygodniu przedświątecznym do godz. 20-tej.

Łyżwy

na gwiazdkę poleca

S.H. Kulesza

Zamkowa 3

magazyn zadowolonych klientów.

Wilno, Mickiewicza 18.

PIJANA POEZJA

O dekrecie prasowym

Cośbym wam wyznał — ale to sekret!
że mi się bardzo podoba dekret!
Nie wiecie jaki? Ależ ten nowy,
ten nowiułeniński dekret prasowy!
Nareszcie teraz nastaną czasy,
kiedy rozkwitnie nam wolność prasy,
kiedy nie będzie zbytecznych batut,
lecz jednolity dla wszystkich statut,
nie będzie żadnych skłóconych cenzur —
tylko na klódkę zamknięty jęzór
niewyparzony, wstrętny, plotkarski,
kaczkowy jęzór nasz dziennikarski!
Dla dziennikarzy to era boska:
baczość! lub spoczni! — wyraźny rozkaz!
a komu nie w smak taka nauka,
to do trzech razy dla niego sztuka —
gdy trzy przewiny w wykazie ma kto
no — to już nie jest żaden redaktor!
Wy, co piszecie satyry, fraszki
i co na łatwy idziecie paszkwił,
szermierze żartu, humoru pióra —
pod dekret dajcie cichutko nura

i tam śpiewajcie jak kołowrotek,
gdy już jesienna spadnie szaruga:

Wlazł kotek
na płotek
i mruga —
piękna to piosenka — nie długa...
Witek.
(Wróble na dachu)

Korekta zakrapiana

Zamieszczamy korektorskie wybryki z poprzedniego numeru kolumny „W młodych oczach”. Korektor widocznie pod gazem zasadził takie kwiatki: —

F r a s z k i

moc się pręży...
w niebo sięże!

Czerni czerni na kolumnie:
brać zwołuje do się tłumnie.
Hej Woje, Rycerstwo Piasta,
kto z Was w cnoty gdzie porasta
do nas — kto we sztukę wierzy;
Zapraszamy
— Was Rycerzy!
Aż się duchów moc rozświeci...
Aż się ptactwo hurmem zleci!
Poszum skrzydeł młodych gra...
Pieśń stustrunna w piersiach łka,
że w Ojczyźnie już z niewoli

Józiuk Czerni
we fraterni
prym mickiewiczowski ma?
ze steperem, jak ta pchła
skacze w przyszłość
mieśni stała
i... mądrała!
W jutro wierszem wryje się
i powie... psiekrawiel...
Maryna Sowa

Nasturcje: — „Siła twórczości opiera się na zrozumieniu człowieka — zrozumieniu nas”. Oczywiście. Niech no kto powie inaczej. Nas t.żn. mas!

Piwonie: — „Poezja nasza nie będzie przykropona na miarę...” itd. Słusznie. Korektor opuścił tylko „i” a dał „o” zamiast „a” — byłoby „przykrapiana”, a w ogóle powinno być „zakrapiana” w miejscu przykrojona.

Trzeci kwiatek: Odraczk: — „O ile nadesłany materiał nie ukaże się w ciągu trzech następnych numerów ozn. odroczenie”. Biedny autor i ten odraczający redaktor. Materiał taki odracza się do sądu ostatecznego. Odroczenie w przedświątecznej gwarze korektorów ozn. odruczenie.

Reszta kwiatków niech kwitnie na chwałę korektora. Szczególnie ta z wierszy Oby mu ziemia lekka była.

Rys. L. JESMANOWICZ.

Geografia kulturalno-artystyczna Wilna

Seria pierwsza: Przylądek wiecznych burz i konfiskat: „SŁOWO”



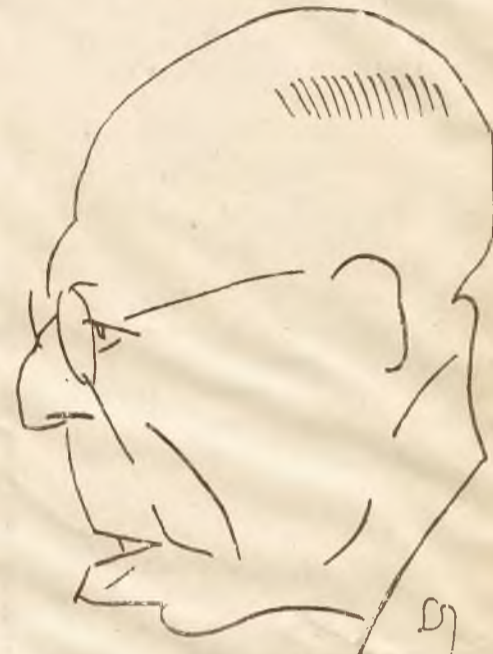
Teodor Bujnicki.



Cat — Mackiewicz.



dr. Walerian Charkiewicz.



Jerzy Wyszomirski.

Radio na wieś!

Spółeczny Komitet Radiofonizacji Kraju, istniejący w Wilnie stosunkowo niedawno, zdążył już radiofonizować dwie wsie, i zakupić kilkadziesiąt odbiorników do szkół i świetlic. Ale to oczywiście nie rozwiązuje zagadnienia. Kiedy się bada mapę zagęszczenia odbiornikami radiowymi, to przede wszystkim — tu na Wileńszczyźnie uderza stosunkowo mała ilość aparatów lampowych, a powtórnie trafiają się pasy całkowicie białe, gdzie nie istnieją w ogóle jakiegokolwiek odbiorniki.

I tu odrazu staje się jasne zadanie Komitetu Radiofonizacji Kraju: wyrwać wieś karczemnym bójkom, samogonowi, długim i beznadziejnym wieczorom zimowym, atmosfera beznadziejności — która niewątpliwie w mańskich i drobnych gospodarstwach istnieje.

Jeśli istnieją biblioteki ruchome — choć to raczej legenda, to i tak do odleglejszych miejscowości nie docierają, z odczytem — tak, jak u Żeromskiego już się przeważnie nikt nie wybiera, więc co zostaje — głuchej, odległej od dróg komunikacyjnych, od szlaków kolejowych — wsi wileńskie — w rozrzuconych tak szeroko powiatach? Co ma robić — w zimowe popołudnie — kiedy jedyną niespodzianką — staje się głośniejsze szczenie psa, albo krzyki — rozpijaczonych i tłukących się święcówkami — parobczaków. Wieś czeka na wiosnę, na lato, przesypia bezpożytecznie — jak niedźwiedź — swój sen zimowy, choć tak poważne ma przecież braki, choć takie braki — że czasem nawet zbyteczny — jest przyjazd biblioteki wędrowniej.

Zbyt trudno jest niezamożnej ludności kilkunastokrotowej nabyć odbiornik kryształkowy, a co dopiero lampowy, dlatego też — rola komitetu radiofonizacji — powinna iść w kierunku zakładania zbiorowych punktów słuchania. Pomagać w zakupie odbiornika — do świetlicy, do domu ludowego, do szkoły, do strażnicy, do miejsc, gdzie się ludność może zebrać do zbiorowego słuchania, a już rzeczą lokalnych działaczy społecznych jest, żeby się tam zbierała Aparat lampowy — to narzędzie pracy społecznej i walki z wadami wsi w ich ręku, powinni się nim umieć posługiwać, a jeśli nie umieją to nauczyć.

I dlatego nie ma dużego sensu — 100 procentowe radiofonizowanie wsi, czy ambicje jednostek idące w tym właśnie kierunku, nie mają sensu — pomoc i kredyty na ten cel — wtedy, kiedy istnieją ośrodki, które nie mają ani jednego odbiornika — w żadnej chacie. Komitet pomaga kupić — 100 odbiorników — jednej wsi, a 100 wsi dookoła — nie ma ani jednego odbiornika.

Do 100 proc. radiofonizowania wsi, do propagandy w tym kierunku — wtedy dopiero komitet będzie miał prawo — kiedy na jego terenie — wszystkie wsie — będą przynajmniej w 20 proc. radiofonizowane. Kiedy na jego terenie — przynajmniej w każdym punkcie zbiorowego słuchania — będzie jeden aparat lampowy.

Nie efekty, nie 2 — czy 3, czy 10 — radiofonizowanych wsi na Wileńszczyźnie, żeby w statystyce zająć pierwsze miejsce, tylko — równoczesna i równomierna radiofonizacja całego terenu — oto cel do osiągnięcia. Wyspy radiofonizowane, które oblewa dokoła w dalszym ciągu — wieś, pędząca i pijąca samogon, wieś bójek i skaleczeń, wieś beznadziejnych zimowych wieczorów — to wcale nie pocieszający obraz.

I dlatego nie wiadomo — czy najważniejszą sprawą jest propaganda z wiosną przyszłego roku — przy pomocy specjalnych samochodów — idei radiofonizacji, bo ona jest dostatecznie rozpowszechniona. Świadczy o tym najlepiej — istniejące u nielicznych na wsi gospodarzy — radio, u których zbiera się cała wieś — i która pożera wzrokiem i słuchem tego, który sam jeden ma słuchawki — i opowiada reszcie swoje przeżycia. Idea wartości radia jest już duża, i nie potrzebuje aż kosztownych samochodów propagandowych, które na

wileńskich bezdrożach kark sobie skręca.

Trzeba się raczej przygotować do odpowiedzi na pytanie, które znowu może zadać chłop mańskolny — słysząc płynące z megafonów zachęty do zakładu radia: panok a za sztosz ja kupiu — heta radia?

Trzeba raczej myśleć o sposobach gromadzenia funduszy, zwiększenia majątku, zasobów materialnych Komitetu Radiofonizacji Kraju, żeby mógł podołać tym wszystkim prósbom, podaniom, błaganiom o pomoc przy kupieniu radia, które już teraz kiedy propaganda radia na tak szeroka skalę jeszcze nie jest rozpoczęta, napływają masowo.

Trzeba przede wszystkim myśleć o zwiększeniu ilości członków Komitetu, o dochodowych imprezach, żeby nie przychodzić na wieś kresową z hasłem jedynie, że radio jest dobrem, że „tak jak chleba — radia trzeba”, bo włościanin wie o tym, a radia nie ma za co kupić.

Nie można w zagadnieniu pomijać istoty rzeczy, nie można się sugerować, że istotą radiofonizacji — jest propaganda, bo istotą — jest zakładanie radia; to jest sprawa najważniejsza.

I dlatego nieco dziwnie wyglądają te zapowiedzi o nowych 100 procentowych radiofonizacjach i o samochodach propagandowych, kiedy cią-

gle jeszcze pozostaje sprawą otwartą: za co kupować?

W hierarchii spraw radiofonizacji wydaje nam się, że powinien być porządek, przynajmniej na naszym terenie: najpierw do zbiorowych punktów słuchania (świetlice, domy lud. itd. aparaty lampowe; w rozwiązaniu tego zagadnienia — tkwi równocześnie i rozwiązanie zagadnienia propagandy; dalej stopniowa pomoc w radiofonizacji — wszystkich wsi, zamias — jedna wieś sto aparatów, 100 wsi — po jednym aparacie (u sołtysa, u popularnego gospodarza, rozwiązanie do przemyślenia), kiedy radiofonizacja wszystkich ośrodków dojdzie do 20 proc., rzucić hasło, ogłosić konkurs, zdopingować — w kierunku stu procentowej radiofonizacji. Wtedy już można sobie będzie pozwolić na ten wyścig, teraz nie jest on jeszcze społecznie uzasadniony, bo przeczy harmonijnemu rozwojowi radiofonizacji, faworyzując jedne ośrodki (przypuszczalnie zamożniejsze) przed innymi, które do pomocy Komitetu Społecznego Radiofonizacji Kraju — mają również prawo.

W każdym wypadku hasło pozostaje niezmiennione: radio na wieś!
(w. m.)



Gabinety — Salony — Jadalnie
Sypialnie — Otomany — Kanapy
Tafly — Meble klubowe.

Skład Mebli Nowoczesnych

B. Łokuciewski

Wilno, Wileńska 23.

Konto Czek. P. K. O. 700.463.

JEŻELI KUPIĆ:

Radio (Elektrit, Capello, Radio-Union)
Samochód (Steyr, nowy model)
Rower (Michał Girda, Janus, i inne)
Maszynę do pisania („Urania”)

To tylko w firmie **MICHAŁ GIRDA** Mickiewiczza 7, tel. 16-28

Największa na Wileńszczyźnie
Pierwsza Chrześcijańska

HURTOWNIA

Polska Składnica Galanteryjna

FRANCISZEK

FRLICZKA

HURT
Bazylińska 4, tel. 30-04
WILNO
Zamkowa 9, tel. 6-46

Ceny ogłoszeń: Za miejsce wysokości 1 m/m i szerokości 1 łamu w tekście 70 gr., za tekstem — 50 gr. Prenumerata roczna 4 zł., półroczna 2 zł. kwartalna 1 zł.

Adres Redakcji i Administracji: Wilno, ul. Jagiellońska 6 m. 19.

Redakcja i Administracja czynne we wtorki i piątki, od godz. 18 do 19.